№ 35. Warszawa, dnia 16 (28) Sierpnia 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

W pokoiku mieszkania na drugiem piętrze, w domu położonym przy Chmielnej ulicy, siedziała młoda dziewczyna, trzymając w ręku jedną z tych mikroskopijnych robótek nad któremi tyle kobiet zużywa daremnie oczy i zdrowie. Siedziała z pochylonem czołem przy oknie otwartem, wychodzącem na wilgotny ogródek, opasany zewsząd murami, w którym uprawiano same pożyteczne rośliny, z widocznem zaniedbaniem wdzięku. Kilka drzew owocowych i kwatery jarzyn, zapełniały całą jego przestrzeń, zresztą nigdzie kwiatka, nigdzie krzewu, coby przypominało wiosenną naturę, barwą lub wonią.

Pokoik w którym znajdowała się młoda dziewczyna nie miał także żadnej ozdoby, tylko sprzęty odpowiadające najpierwszym potrzebom zapełniały jego ściany, pomalowane szarym kolorem, by oszczędzić zapewne brudu i kosztu bielenia. Pomimo szczupłości miejsca stało tu kilka łóżek, widocznie kobieta siedząca w oknie nie była jedyną mieszkanką tego pokoju. Oprócz łóżek parę prostych stolików i stołków dopełniało arcy-skromnego umeblowania, w oknach nie było firanek ani nawet tego jedynego zbytku ubogich, doniczek kwiatowych.

Przecież dziewczyna siedząca w oknie nie zdradzała ubóstwa ani ubiorem ani robotą swoją. Ubrana była w ciemną suknię domową, ale włosy miała zaczesane starannie, według panującej mody, a wielki kok piętrzący się nad głową, świadczył że nie brakło powszedniego chleba kobiecie co się na taki zbytek włosów zdobyć mogła, i co marnowała czas drogi, na wyrobienie mikroskopijnej gwiazdeczki, s tanowiącej zaledwie jedną setną część kołnierzyka.

Zresztą nie zwracała ona zbytniej uwagi ani na świat otaczający piękny i uśmiechniony w majowym uroku, ani na swoją pracę. Blade jej palce przesuwały z rodzajem zmęczenia małe druciane narzędzie, jak gdyby lekki ciężar jego, przechodził jej siły. Czasem zatrzymywała się opuszczając ręce na kolana, z wzrokiem bezmyślnie utkwionym przed siebie. Była ona wątłą i mizerną bardzo, w jej ruchach i spojrzeniach panowała pewna ociężałość, delikatnym rysom brakło ożywienia, wielkim ciemnym oczom ognia i blasku. Fizyolog byłby szukał przyczyny w braku krwi, psycholog w małem rozwinięciu władz umysłowych, zapewne jeden i drugi miałby słuszność, w podobnych razach istnieje nieustanna reakcya pomiędzy duchem i ciałem.

Bądź co bądź ta młoda istota apatycznie przesuwająca w bezsilnych rękach cieniutką nić bawełny, czyniła przykre wrażenie. Było w niej znać jakieś głębokie nieświadome siebie cierpienie, jakieś warunki życia nieodpowiednie potrzebom, i bierną rezygnacyę bez zasługi żadnej, pochodzącą nie z wiary lub dumy ale po prostu z braku inicyatywy. Słowem przypominała więcej roślinę więdnącą bez słońca i odpowiedniego gruntu, niż kobietę rozumiejącą walkę życia i gotową zająć w niej stanowisko swoje. Zdawała się z góry zwyciężoną, zawczasu chyliła głowę przed każdą burzą, nie zdolna do jakiego bądź oporu, a twarz jej i postać cała nosiła niezaprzeczone stygmata bezsilności i umysłowego ubóstwa. A jednak szlachetne kształty czoła zdawały się stworzone ażeby być siedliskiem myśli, pięknym oczom oprawionym długą powieką brakło tylko ożywczego promienia inteligencyi, by zajaśnieć całą potęgą, a delikatne rysy świadczyły nie jako że jeżeli ta istota nie rozwinęła się prawidłowo, wina to była ludzi, a nie matki natury, która nie poskąpiła jej darów swoich. Ale dary te, pozostały w uśpieniu, za sprawą jakichś wrogich żywiołów, co zwarzyły ją w samym kwiecie.

Czas jakiś zwolna i cierpliwie przesuwała bawełnę w palcach, przyglądając się z uwagą robionej gwiazdce. A przecież majowe słońce złociło ożywczym promieniem ten szary ubogi pokoik, a przecież wietrzyk wiosenny igrał w około jej czoła przynosząc z dalekich pól i lasów, jakieś upajające wonie i dźwięki, a przecież po za murami smutnego ogródka oko ginęło w obszarach zieleni, i wszechwładna królowa życia — wiosna, kipiała w całej naturze, wlewała w piersi ożywcze balsamy i przyspieszała bieg krwi w żyłach. Na cześć jej ptaki śpiewały z całych sił, owady brzęczały chórem wznosząc się w powietrzu, a liście drzew nawet zdawały się wydawać radosne szmery.

Ona jedna siedziała blada, nie mogąc lub nie umiejąc odczuć ogólnego wesela budzącego się świata, i podzielić go choć na chwilę. Umysł jej był zamknięty na wrażenia zewnętrzne, a serce nie zdolne było ich odczuć. Jak maszyna w ruch wprawiona, poruszała się zwolna, automatycznie, jednakże położenie automatu musiało jej dolegać, skoro zdawała się pochylona pod niewidzialnym ciężarem tłoczącym jej wątłą postać.

Gdy tak pracowała w milczeniu, drzwi od pokoju otworzyły się i weszła nie młoda już kobieta. Minutę zatrzymała się na progu, mierząc z rodzajem niepokoju pracującą dziewczynę, która zwolna i leniwie słysząc skrzypnięcie drzwi, odwróciła głowę.

— Jakże się czujesz teraz, Elciu—spytała kobieta zbliżając się do niej.

— Mnie nic nie boli, mamo, odparła, tylko czuję się bardzo zmęczoną.

— Przecież nie wychodziłaś dzisiaj?

— Nie mamo.

— Szkoda, czas taki piękny, namawiałam cię żebyś się ze mną przeszła.

— Kiedy ja nie mam siły.

Nastała chwila milczenia, rozmowa między matką a córką zdawała się wyczerpaną, przynajmniej co do tego tematu. Matka usiadła na przeciw młodej dziewczyny, i wzięła w swoje jej dłonie, poczuła iż były rozpalone, a chociaż nie rozumiała całej ważności tego symptomatu, zaniepokoiła się przecież.

— Męczysz się tą robotą, wyrzekła odbierając jej tylko co ukończoną gwiazdkę.

— O nie, odparła córka, z pewną względną żywością, świadczącą, iż robota interesowała ją więcej od wielu innych rzeczy, muszę przecież skończyć ten kołnierzyk na urodziny ojca, będziemy mieli gości, nie prawdaż mamo?

— Zapewne, szepnęła zagadnięta kobieta, z westchnieniem mimowolnem, wy biedne tak mało macie rozrywki.

— A ty, Mamo tak samo.

— O ja! cóż to znaczy, wyrzekła z głębokiem zniechęceniem, cechującem jej całą postać.

Kobieta ta musiała być piękną kiedyś, świadczyły o tem rysy niestarte dotąd ręką czasu, ale na niej za równo jak na córce, zdawało się ciążyć jakieś smutne fatum, ona także nosiła na twarzy wyraz pognębienia, tylko wyraz ten mniej był rażącym w istocie co przebyć musiała rozmaite koleje losu, niż w tej co na progu życia powinna się była do niego uśmiechać, całą potęgą sił wiośnianych. Przecież bladość jej czoła miała coś chorobliwego pod siecią zmarszczek co je przecinały, a w przygasłem oku zdawały się płynąć jakieś zawiedzione nadzieje, jakieś bóle tajemne, napróżno zagrzebywane popiołem zapomnienia. Znać życie jej było ciężkie, walczyła zapewne z codzienną nieustanną troską, i ona to wypisała się na jej twarzy wyraźnym stygmatem.

— Mamo, wyrzekła znowu po chwili milczenia z głębokim namysłem młoda dziewczyna, mnie koniecznie potrzeba kolorowej szarfy na urodziny ojca, mam tylko czarną suknię do włożenia.

— Potrzeba ci koniecznie szarfy Elciu, powtórzyła matka jak echo.

— Szarfa kosztować będzie przynajmniej czterdzieści złotych, ciągnęła dalej Elcia, której choroba nie pozbawiała jednak ani ochoty do stroju, ani arytmetycznych zdolności, a mam zaledwie parę dziesiątek w woreczku, musiałam sobie kazać kok przerobić.

— Tak, to było najpotrzebniejsze powtórzyła matka z powagą, nie można się już było w starym pokazać?

— Prawda mamo, ale zkądże teraz wezmę na szarfę?

Patrzyła na matkę i przez chwilę ten wielki problemat zdawał się zajmować je wyłącznie obiedwie.

— Wiesz dobrze Elciu, że ja nie mam pieniędzy.

Córka milczała, zapewne o fakcie tym dawno była uwiadomioną.

— Trzeba będzie prosić ojca, dodała po chwili matka oglądając się dokoła z mimowolną obawą.

— Alboż ojciec da? — spytała Elcia niedowierzająco.

— Ja nie wiem — sprobuj.

— Wolałabym nie probować, wczoraj Józia i Leosia prosiły go o buciki, to je złajał, a przecież bez bucików obejść się nie można.

— Ale ty także bez szarfy się nie obejdziesz.

Dziewczyna zamyśliła się, wspierając na ręku głowę zwieszoną. Widocznie potrzebowała ona pilniej daleko lekarza niż szarfy, rzecz ta jednak ani matce ani córce do głowy nie przyszła.

— Mamo, szepnęła znowu dziewczyna po długiej chwili.

— Cóż! Elciu?

— Mamo, pan Feliks pewno powróci na urodziny ojca.

— Pewno powróci, tak obiecywał.

Na bladą twarz Elci wystąpił gwałtowny rumieniec, widać imię to nie było jej obojętnem, przecież wspomnienie pana Feliksa pozostawiło w umyśle poprzednią troskę a może nawet wzmocniło ją jeszcze, bo wyrzekła z rodzajem determinacyi:

— Widzisz mamo że ja szarfę mieć muszę.

Zanim jednak ta zdołała odpowiedzieć, rozległo się w mieszkaniu gwałtowne pociągnięcie dzwonka, i doszło aż do dwóch kobiet przez kilka pokoi oddzielających je od drzwi wchodowych. Obie drgnęły i powstały razem.

— Ojciec powraca, wyrzekła matka z pewnym niepokojem, sądziłam że to jeszcze wcześnie.

Tymczasem ktoś bliżej będący otworzył zapewne drzwi gospodarzowi domu, bo rozległy się szybkie kroki w przyległym pokoju, i niebawem ukazał się na progu pan Kalasanty Drobiński.

Na pierwszy rzut oka niepodobna było określić jego wieku, bo mała postać i twarz wywiędła mogła zarówno należeć do starca jak i do młodego człowieka; były na niej wypisane różne stygmata, rozmaite żądze uczucia, ale nie było tego prawidłowego rozwoju, tej zwykłej kolei zmian, co od razu świadczą o przeżytych latach. Wprawdzie żółto-rudawe włosy z rzadka porastające jego czaszkę mieniły się gdzieniegdzie siwizną, ale trzeba było im się przyjrzyć, by rozeznać że przykry kolor tego porostu, pochodził z mieszaniny czerwonych i białawych włosów. Czoło pod niemi było płaskie, w tył cofnięte, nosiło charakter uporu, ciasnoty myśli a może i okrucieństwa. Zresztą twarz cała szczupła, koścista, powleczona była piegowatą skórą, a koloru oczów trudno było dostrzedz. Źrenice bowiem biegały w koło niespokojnie i nigdy nie spotykały się z niczyim wzrokiem. Na dobitkę zaś nerwowe drganie powiek, czyniło zupełnie nie możebną obserwacyę w tym względzie. Pospolicie zwano pana Kalasantego zezowatym, choć w istocie nie był on jednak takim wcale, tylko nie lubił patrzeć prosto na nikogo, a spojrzenie każde olśniewało go jak promień słońca, i wywoływało nerwowe drganie nie pozwalające dostrzedz koloru ani wyrazu jego oczów.

Mały człowieczek zmierzył skośnem spojrzeniem żonę i córkę.

— Cóż to, zawołał, trzecia godzina, a do obiadu jeszcze nie nakryto, Józia i Leosia biegają po mieście, a wy siedzicie tutaj jak malowane. Prawdziwe skaranie boskie, gęb do jedzenia nie brakuje, ale do pracy nie ma nikogo.

— Nie wiedziałam że tak późno, tłumaczyła się kobieta.

— Alboż nie kupiłem bronzowego zegara, alboż nie wydzwania godzin i kwandransy, a zresztą czy to gospodyni domu nie powinna wiedzieć o czasie? Dobrze że choć te małe były w pokoju i drzwi mi otworzyły.

— Masz słuszność mój mężu, szepnęła zgromiona.

— Ja zawsze mam słuszność, krzyknął nie poruszony wcale jej pokorą.

— Ale bo widzisz Elcia taka słaba.

— Elcia, cóż to jej znowu, panieńskie fochy, jeszcze by mi choroby w domu tylko brakowało, choroby, doktora, co?

I spojrzał na córkę takiemi oczyma, że biedna dziewczyna zawołała przestraszona.

— Nie mój ojcze, nie potrzeba doktora.

— To bardzo szczęśliwie, bo ja na to nie mam. Wy doprawdy myślicie że posiadam skarby jakieś, a ja wydatkom waszym nastarczyć nie mogę. Przyjdzie dalej kraść albo rozbijać.

Kobiety milczały, a pani Drobińska cichaczem gotowała się wyjść z pokoju aby uniknąć dalszej burzy, bo widocznie chwila była źle wybraną do przedstawienia jakiego bądź żądania, kiedy pan Kalasanty zwrócił się do niej z despotyzmem człowieka, nawykłego by każden kaprys jego był prawem.

— I gdzież odchodzisz Pelagijo, mam ci właśnie coś powiedzieć.

Żona zatrzymała się na miejscu.

— A tak, tak—ciągnął dalej pan Kalasanty, szukając coś po kieszeniach, odebrałem śliczną wiadomość, nie ma co mówić, jak Boga kocham ci ludzie poszaleli, mają mnie za bogacza czy co!

— O cóż to idzie, spytała przelękniona żona.

— O co, o co, zaraz się dowiesz jakie to te kobiety ciekawe, dowiesz się aż nadto prędko. Oto właśnie odebrałem list od stryja Salezego.

— Od stryja Salezego, powtórzyła z pewnem uszanowaniem.

— Tak jest, nasyła mi tu jakąś kuzynkę, która chce się niby to kształcić w Warszawie i potrzebuje schronienia. Jeszcze czego nie stało. Czy to dom mój pensya, szpital czy hotel?

— I któż to taki?

Pan Kalasanty skrzywił się sobie właściwym sposobem.

— Jest to wprawdzie córka mojej nieboszczki siostry, ale cóż ztąd, zerwałem z nią przecież wszystkie stosunki od czasu gdy wyszła za mąż za hołysza nauczyciela, nie po to by mi jej dziecko na kark spadało. Mam tu i tak dość gąb do żywienia sześcioro dzieci i żona niedołęga, to i to zanadto na biednego człowieka.

— To napisz że jej wziąść nie możesz, wyrzekła nie śmiało żona, obliczając po cichu ile kosztu i wymówek przybyłoby jej wraz z sierotą.

— Czy ja ci się pytam o radę czy co? albo ty wiesz co wypada zrobić, przecież stryj Salezy do mnie pisze. A niechby ją sobie dyabli wzięli, ale stryjowi odmówić nie można. Nużby w testamencie pominął. I jak na złość pisze jeszcze że siostra nic po rodzicach nie dostała. A czy to moja wina? każdemu wiadomo że były długi, raty Towarzystwa zaległe, ja przecież majątek kupiłem z licytacyi, jak Boga kocham z licytacyi i wpakowałem w niego cały twój posag. Nie ma co mówić, zarobiłem jak Zabłocki na mydle.

W obliczeniach swoich, pan Kalasanty zapominał wyraźnie, iż majątek rodzicielski kupił korzystając z nieobecności siostry i szwagra, za wartość pożyczki Towarzystwa, i że wyciągnął z niego dziesięć razy tyle ile nałożył. Drobiazgi te widocznie wypadły mu z pamięci.

— Więc cóż zrobimy? spytała zakłopotana kobieta.

— Co mamy robić! musimy wypełnić wolę stryja, zresztą coby ludzie powiedzieli, gdybym zamknął dom przed córką siostry, ale to istne skaranie boskie, tego mi tylko brakowało.

— A kiedyż ona przyjedzie?

— Albo ja wiem, dziś lub jutro, tak stryj pisze, bo nie pyta się wcale o moje przyzwolenie, powiada z góry że tego odmówić nie mogę. Zapomina że ja biedny człowiek, i że jemu przecież wypadało wziąść w opiekę sierotę. Stać go na to.

— Zapewne—powtórzyła żona z admiracyą jaką bogactwo rodzi w pospolitych naturach, stać go na to.

— Ale on mądry, woli mnie nasłać to licho. A sam trzyma tych Ichmościów.

Pani Pelagija westchnęła głęboko.

— I gdzież my ją umieścimy.

— Cóż to? czy mam pokój przybierać dla jejmościanki.

— Gdzież ją postawić?

— Może przecie spać na sofie tutaj u Elci, albo lepiej u dzieci, będzie zaraz nad niemi miała dozór.

— Tu przecież nie ma ani trochę miejsca, wyrzekła matka rozglądając się po pokoju, a u dzieci jeszcze ciaśniej, możeby w salonie?

— Salon jest od gości, a nie na to by go niszczyć codziennem użyciem, jeszcze czego nie stało. Ludzie jak cię widzą tak cię piszą, nie chcę by nas źle sądzili. Każ zaraz znieść z góry sofę do dzieci, trochę twarda wprawdzie, trochę podarta, ale to nic nie szkodzi.

— Doprawdy, ona się tam nie zmieści, powtarzała zafrasowana kobieta.

— Te kobiety są do niczego, krzyknął mąż, rozgniewany najlżejszym oporem, powiadam ci że pokoju nie dobiorę. Już i tak będę musiał tej dziewczynie sprawić suknię i trzewiki, bo założę się że przyjdzie do nas obdarta, a cóżby świat na to powiedział, a dalej zachce jej się niezawodnie koka, obcasów, węgierek i nie wiem jak tam już nazywacie wasze dyabelskie wymysły.

— Wieleż ona ma lat, wtrąciła nareszcie panna Eligija, która dotąd w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie rodziców.

— Albo ja wiem, stryj tego nie pisze, musi to być jednak panna dorosła, bo to kawał czasu jak nieboszczka siostra, zrobiła głupstwo, i za mąż poszła. To też prędzej spodziewałem się śmierci, niż tej miłej dachówki, co mi dzisiaj na głowę spadła.

(d. c. n.)

O ZASOBIE I JEGO ZNACZENIU

w gospodarstwie społecznem.

PRZEZ

J. K. Gregorowicza.

(Prelekcya na dochód Osad Rolnych w d. 7 Marca 1875 r.)

(Dalszy ciąg).

Wśród dziczy ludzkiej groźnej liczbą, a silnej dzikością, garstka najinteligentniejszych jednostek przepadnie nic dla niej i siebie nie zrobiwszy; wśród społeczności z przeważną liczbą zaniedbanych, cząstka chętnych i po ludzku działających, na każdym kroku spotka przeszkody czynność ich udaremniające. W prawidłowem też rozwoju, w społecznościach cieszących się przewagą posiadanego zasobu, wszystko co żyje krząta się i pracuje.

Tam też gdzie spojrzeć, pozór sam wydaje pochlebne świadectwo, o zdobytem zasobie, umiejętnem korzystaniu z niego i staraniu ciągłem o jego przysparzanie. Tam domy mieszkalne nie tylko wygodne ale upięknione, odzież nie tylko dostatnia ale i zamożna, pokarm nie tylko głód zaspakajający, ale i odpowiedni istotnej i wymyślniejszej potrzebie; człowiek nie tylko pisać i czytać umiejący ale znający potrzeby społeczne i czynności do ich zaspokojenia przedsiewzięte; tam wsie do miasteczek podobne, miasteczka do miast większych a te do stolic i grodów wspaniałych; tam wszędzie pomimo zepsucia dotykającego pewne warstwy społeczne więcej widoczniejsze, gdzie zajrzeć tylko choćby do najmniejszej gminy, wszędzie spotka religijność nie w formie ale w duszy; moralność nie w słowie ale w czynie; cnoty społeczne nie w rozgłosie ale z poczucia obowiązku; opinię publiczną nie w rozprawach ale w działaniu.

Tam znajdzie własność szanowaną, bezpieczeństwo zapewnione, szkółkę rojącą się dziatwą, książkę, pismo peryodyczne, czystość, porządek, ład, zabiegłość, krzątanie się, oszczędność, pracowitość, podniesioną żyzność roli, zwartwość lasu, wydajność łąk i pastwisk, śpieszną naprawę najmniejszego zepsucia; tam wody i rzeki ujęte w karby woli człowieka nie szkodę ale pożytek przynoszą. Tam drogi, mosty i rowy porządkiem i całością odpowiadają swemu przeznaczeniu, tam najmniejszy użytek zagajony, wydmuch zamurawiony, każdy kącik, każda piędź ziemi zajęte pod drzewo owocowe, tam zwierzęta domowe w rasie swej ulepszone, praca ułatwiona, każdy sprzęt lub narzędzie począwszy od prostej ławy aż do najzbytkowniejszego umeblowania, od taczki i wózka ręcznego aż do karety wybitej aksamitem, od gwoździa aż do szpilki w głowie elegantki, w domu i za domem, na wsi i w mieście, w polu lub w otoczeniu mieszkalnem, wszędzie znać wpływ zasobu społecznego, jego działalność, jego potęgę nieprzepartą, nawet w żebraku nader rzadko trafiającym się, poruszającym serce do litości nie łachmanem i wynędzniałą postacią, nie wrzaskliwą obietnicą modłów o szczęście i pomyślność, ale prośbą pełną prostoty jakby ze wstydem szeptaną, a świadczącą o istotnej niedoli proszącego, a lepszej doli w przeszłości.

W społecznościach w których cząstka tylko oparta na prawdziwie chrześcijańskiej moralności, pracą zdobywając wiedzę, a wiedzą kierując pracę, stara się podążać za ogólnym ludzkości postępem, gdy reszta najliczniejsza jest więcej bierną jak czynną, a najzamożniejsza w biernej pogrążona bezczynności, od wszelkiej usuwa się pracy, tam wszystko przeciwnie się dzieje; — tam cząstka owa mała prawdziwie ludzka zmuszona dźwigać sama jedna cały ciężar przysparzania zasobu, nie może podołać mozołowi tak wielkiego zadania i znużona wpada w zniechęcenie, jak każdy przeciążony pracą, który widzi jej ogrom a małą możność jej zaspokojenia.

Tam też niepowstrzymanym pędem, rozwija się pijaństwo, żebractwo, próżniactwo, występki, napaści na własność i osoby; tam zarozumiałość góruje nad nauką, interes nad obowiązkiem; tam religija zostaje wyszydzaną, moralność lekceważoną, zasługa nie uszanowaną, starość potrącaną; tam pieniądz staje się świętością, świętość najszlachetniejszych uczuć, prochem z grobów zebranym, tam wszelka spójnia braterska ustaje, zwierzęca walka o byt nie przebierająca w środkach wzmaga się, w miejsce kłów i szponów występuje podstęp, oszustwo, wyzyskiwanie, bezczelność reklamy i obecność staje się wszystkiem z chęcią używania do potworności posuniętą, choćby z zaprzedaniem duszy szatanowi gdyby się zjawił i brzęknął trzosem.

Jakim jest nasz zasób społeczny nie podobna mi tego wszystkiego szczegółowo przedstawiać. Nie jest on wielkim ale i małym nazwać go nie można, nie olśniewa przewagą, pozornie nawet w porównaniu z innemi przedstawia się dość niepochlebnie, ale przy troskliwszem badaniu, stanowi dziedzictwo nie małej wagi, któremu brak tylko uporządkowania, brak właściwego kierunku zdaniem mojem zwichniętego, aby zajaśniał w całej pełni swojej działalności.

Pomijając bogactwo przyrodzone jakiem jest żyzność roli, lasy, pastwiska, skarby kopalne, rzeki przerzynające niezmierzone równin obszary, klimat umiarkowany, co wszystko w połączeniu razem nietylko nas równa ale nawet nadaje przewagę nad obcemi społecznościami, same zaś wrodzone przymioty wielkiego słowiańskiego plemienia do którego należymy, stanowią nie małe bogactwo środków do pomyślnego rozwoju we wszystkich kierunkach ludzkiej działalności.

Umysł nasz giętki z łatwością czerpać potrafi ze skarbów nauki; wrodzone usposobienia, nawet talenta do pewnych objawione specyalności, świadczą pochlebnie o wrodzonej zdolności całego ogółu.

Chęci nasze jak najlepsze ku podniesieniu dobrobytu powszechnego skierowane, dają wymowne świadectwo pragnień poczciwych na wskroś nas przejmujących.

Serca pełne najzacniejszych popędów, czy w niesieniu pomocy niedoli i nieszczęściu, czy w wspieraniu instytucyj pożytecznych, czy w dopomaganiu młodzieży uczącej się, pokazują jasno, jak zacnem i poczciwem przepełnione są uczuciem, jak chętnie biegną z ofiarą byle cel jasno i wymownie został przedstawiony.

Religijność nasza niepokalana, szczera i głęboka, daleka od fanatyzmu i nietolerancyi; moralność nie zwichnięta w swych głównych zasadach, zalecały nas zawsze i utrzymują się bez skazy pomimo wpływów szkodliwych z zachodu do nas nadbiegających.

Przymioty te stanowiące nasz zasób moralny, nie są wynikiem pochlebstwa lub zbytecznego siebie przeceniania. Wychodząc z takiego źródła, podniesienie ich byłoby płochością niczem nieusprawiedliwioną.

Wreszcie nie odmawiają ich najniechętniejsi, dla czegóż więc w wynikach pracy społecznej nie przynoszą owoców jakich spodziewać by się należało?

Głównym powodem tej dysharmonji stosunku skutku i możności, jest zdaniem mojem zbyteczne zapatrywanie się na obce społeczności i pragnienie gorące jak najprędszego przyswojenia sobie tego, co one posiadają, bez pilnego rozpatrywania dróg jakiemi postępowały zanim pochlubiły się zdobyczą tyle przez nas upragnioną.

Ztąd działanie na skutki złego nie na przyczyny, ztąd zawody, straty, ztąd pewne wahanie i zapominanie, że społeczność każda jak człowiek pojedynczy wszystko musi wydobyć sama z siebie, z mozołem, trudem i rozwagą, gdyż zasób społeczny jako zbiór użyteczności wypracowanych według właściwości miejscowych i warunków im posługujących, nie może być nabytym tylko wydobytym pracą systematycznie prowadzoną, na wzór dziecka, które aby z czasem stało się rozumnym człowiekiem musi naukę zdobyć własnym wysiłkiem, posuwając się od abecadła do elementarnych wiadomości, a od tych do coraz wyższych sposobami używanemi choćby przez obcych, ale jej nie kupi gotowej za żadne skarby choćby przy potędze całemu światu rozkazującej.

Zasób we wszystkich kierunkach tą samą drogą narasta, społeczność nie pilnująca się jej i pragnąca robić nagłe przeskoki, samowolnie naraża się na dotkliwe straty i przyrost jego wstrzymuje.

W zachodnich np. społeczniach jest ustalone przekonanie, że wszelkie większe przedsiewzięcia powinny się odbywać koniecznie spółkami miejscowych kapitalistów a odsuwaniem obcych od tej posługi. Jest to zgodne z zasadami gospodarstwa społecznego, ale pod warunkiem, że użyte do tego kapitały będą zbywające od potrzeb gospodarstwa rolnego, od przemysłu wiejskiego i rzemiosł stanowiących główną podstawę całego przemysłu fabrycznego.

W obczyznie pamiętano o tem, kapitały też zbywające naturalnym rzeczy porządkiem, stanęły w obronie swojej działalności.

U nas własność ziemi zachwiana, obcy przybysze z zachodu coraz liczniej stają się jej nabywcami, skutkiem tego kredyt na lichwie jedynie oparty, kapitał obrotowy, tak niezbędny, prawie żaden, postęp gospodarstwa i przemysłu wiejskiego niezmiernie leniwy, a rzemiosła w prostocie dawno opuszczonej przez obce społeczności.

Mimo tego, w użyciu miejscowych zasobów pieniężnych naśladujemy zachodnie społeczności, i broniąc

napływu obcych kapitałów do przedsiewzięć przemysłowych większych rozmiarów, budujemy własnemi siłami koleje żelazne, zakładamy fabryki, górnictwo bierzemy w opiekę, słowem odrywamy cały zasób pieniężny od tak pilnych potrzeb ziemi, zostawiając ją w zupełnem niemal opuszczeniu. Koleje żelazne za dni naszych nie odmawiając im wielkiej użyteczności, powiada Stuart Mil, z wycieńczającemi tylko wojnami porównać można.

Są to słowa Anglika o Anglji i w Anglji wypowiedziane, o tej Anglji której zasoby pieniężne zdumiewają świat cały. Cóż dopiero powiedzieć o nas tak znacznie niżej pod tym względem stojących?

Koleje żelazne, powiada znów nasz ekonomista, są otchłanie w której toną olbrzymie zasoby nie pozostawiając innych po sobie śladów, prócz usypanej grobli i szyn na niej leżących, które skutkiem nieprzewidzianych wypadków lub zmienionych stosunków, w jednej chwili nieużytecznemi stać się mogą. One to odrywając zasoby od rolnictwa, dla którego ubytek ten w kraju niezamożnym jest dotkliwym i niebezpiecznym ciosem, garnąc do siebie kapitały wolne i rozporządzalne, utrudniają ich nabycie drogą kredytu tam gdzie ich pomoc jest niezbędną, a utrudniają dla tego, że część ich topią na zawsze przemieniając bezpowrotnie na nieruchome. One wreszcie, powiada dalej, tłumią ducha rzeczywistej przemysłowości, który w przyrodzonym rzeczy stanie rozwinąć by się powinien w powstających gęsto drobnych rękodzielniach, stokroć użyteczniejszych od kolei żelaznych.

Niechby więc koleje żelazne budowali obcy, gdyż pomiędzy wykupywaniem ziemi przez nich, a budową kolei, zakładaniem fabryk a nawet podnoszeniem górnictwa, wielka zachodzi różnica.

Przypuszczając zaś obcych do przedsiewzięć przemysłowych, wypełniamy miejsce jeszcze próżne, zasób ich tak pieniężny jak w wiedzy złożony wzmaga nasze siły produkcyjne, swoje wyroby oddaje za inne, obudza współzawodnictwo, rozszerza pracę już istniejącą, tworzy nową odpowiednią właściwym miejscowościom a dotąd jeszcze nie obudzoną — i tym sposobem przez wskrzeszanie działalności, podniesienie wiedzy, ożywienie wymiany, mnożą się środki gromadzenia zasobu społecznego własnemi siłami i społeczność słabsza od potężniejszej odbiera rzeczywistą przysługę, odpychaną przez nieznajomość praw nią rządzących, lub przez źle zrozumiany patryotyzm.

Edykt z Nantes sławny w dziejach Francyi, wygnał z niej przeszło milijon protestantów oddanych przemysłowi i posiadających majątek ruchomy. Ludzie ci osiedli w Anglji i Niemczech Nadreńskich, i zaraz pomyślność i potęga Francyi zaczęły szybko upadać a Anglji i Niemiec wzrastać jeszcze szybciej.

To przyswajanie na drodze przemysłu i handlu odbywało się i odbywa ciągle. Bracia Ewansowie, Anglicy pierwsi stali się u nas twórcami powstania fabryki wyrobów żelaznych na wyższą skalę: to samo Filip Girard, Francuz, łącząc się ze współką do wyrobów lnianych pod firmą Karola Scholtza, pierwszym był także co przez rząd poparty urządził u nas przędzalnię mechaniczną, pierwiastkowo założoną w Marymoncie, a potem wraz z blichem przeniesioną do osady którą od nazwiska znakomitego cudzoziemca Żyrardowem nazwano.

Obie te fabryki choć przy pomocy cudzoziemskich kapitałów i wiedzy powstały, z wielką korzyścią służą dotąd krajowi, zasób więc obcy przyniesiony z zagranicy utonął w naszym, powiększył go bez oddziałania szkodliwego na miejscowy pierwiastek.

W obczyznie, fabrykacya cukru nie zbyt dawno powstała, przedsiębiercom nie małe przynosi korzyści i wpłynęła bardzo pomyślnie na ożywienie przemysłu wiejskiego. W ślad za tym przykładem rzucono się i u nas do zakładania fabryk cukru, nie zwróciwszy uwagi, że tam inne gałęzie tegoż przemysłu należycie już rozwinięte zostały, że cukrownictwo jest tylko prostem następstwem jego rozwoju, i że tym sposobem gospodarstwa nie wyzyskuje, tylko rzeczywiście przychodzi mu w pomoc.

U nas z przemysłu wiejskiego jedno tylko gorzelnictwo cieszy się dość względnem powodzeniem, piwowarstwo zaś, ogrodownictwo, wychów bydła na mleko i mięso, drób' domowy, tkactwo, pszczolnictwo i młynarstwo, w zupełnem rzec można zaniedbaniu, rolnictwo zaś nie przygotowane tak, aby bez szkody dla siebie mogło zajmować się produkcyą buraków.

Mimo tego, sprowadzając piwa z Wiednia, owoce i płótno z różnych stron świata, miód aż z Ameryki, zboże zawsze wywożąc z otrębami które pozostawione w kraju przysporzeniem paszy niezmiernie dzielnie przyczyniło by się do podniesienia całego rolnictwa, spożywamy własny cukier, płacąc za niego fabrykantom drożej, niżby nas kosztował pomimo kosztów transportu z zagranicy sprowadzony. Tak nie ekonomiczne postępowanie nauka gospodarstwa społecznego stanowczo potępia, ucząc, że zasób wtedy tylko narasta, jeżeli społeczność produkt własny sprzedaje drożej niż ją samą tenże kosztuje, a sprowadza to z obczyzny co tamże taniej może nabyć.

U nas towarem wywozowym są jedynie produkta z roli wydobyte, sama więc natura rzeczy wskazuje gdzie głównie wszystkie nasze siły produkcyjne skierowane być winny, tym bardziej, że plantacye buraczane oparte głównie na zasobach pierwiastków pożywnych dawniejszych, a nie powstających z racyonalnego prowadzenia gospodarstwa, wyniszczają je do reszty i z czasem zupełnie wyczerpać mogą.

(d. c. n.)

HERNANI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

W. HUGO.

Przełożył Klemens Podwysocki.

(Ciąg dalszy).

AKT DRUGI.

Bandyta.

SARAGOSA.

(Plac przed pałacem Silvy. W lewo — wysokie mury pałacu, z jednem oknem wychodzącem na balkon. W dole pod tem oknem małe drzwi. W prawo w głębi sceny domy i ulice. Noc. Tu i owdzie— kilka okien od frontu jeszcze oświetlonych).

OSOBY:

Don Karlos. Hernani. Dona Sol. Don Sancho. Don Matias. Don Ricardo. Góral.

SCENA I.

Don Karlos.—Don Sancho Sanchez de Zuniga, hrabia z Monterey.—Don Matias Centurion, markiz z Almunany.—Don Ricardo de Roxas, pan z Casapalmy.

(Wchodzą wszyscy czterej z don Karlosem na czele, kapelusze mają nasunięte na oczy — płaszcze długie, z pod których wyglądają szpady).

DON KARLOS (patrząc na balkon).

Ten sam balkon... To okno... Krew się we mnie palił..
Tu ciemno....

(patrząc na okna jeszcze oświetlone).

Gdzie nie trzeba, świece błyszczą w dali...
A tu, gdzie trzeba światła, tu, gdzie czekam na nie,
Ani iskry....

DON SANCHO.

O zbójcy wolnoż spytać, panie?...
Puściłeś go bezkarnie?...

DON KARLOS.

Najbezkarniej w świecie.

DON SANCHO.

Lecz, królu, to był może herszt bandytów przecie?

DON KARLOS.

Bandyta, czy herszt bandy, mniejsza. Ale czoła
Nosić dumniej, panowie, król żaden nie zdoła.

DON SANCHO.

Jego imię?

DON KARLOS (zawsze wpatrzony w okno).

Tak... Munez, Fernan...

(jakby przypominając nagle)

A... na ani...

DON SANCHO.

Hernani może, królu?

DON KARLOS.

Tak.

DON SANCHO.

To on!

DON MATIAS.

Hernani!
Herszt!...

DON SANCHO.

Słów jego nie pomnisz, Miłościwy panie?

DON KARLOS.

W tej szafie?.. Nie, choć ucho wytężałem na nie.

DON SANCHO.

Lecz wypuściłeś królu, zbrodniarza nie lada!

DON KARLOS (zwraca się ku niemu z powagą i patrzy mu w oczy).

Więc hrabia de Monterey na seryo nas bada?

(panowie cofają się w milczeniu).

Zresztą nie o tem myślę, mój hrabio surowy!
Potrzeba mi kochanki jego, a nie głowy.
Szaleję za nią... Ócz jej siła mną zawładła!
Dwie pochodnie, dwa słońca, dwa duszy zwierciadła!
I z całej ich rozmowy pamiętam jedynie
Te słowa: „o północy — jutro.“ Nie zawinię
Spóźnieniem— i w tem wszystko. Rzecz pójdzie, jak [z płatka.
I kiedy mój bandyta, z tą miną gagatka.
Zabawia się nad świeżej ofiary mogiłą,
Ja zdmuchnę mu z przed nosa gołąbeczkę miłą.

DON RICARDO.

Lecz, by godnie uwieńczyć te królewskie trudy,
Jastrzębia zgładzić, panie, należało wprzódy...

DON KARLOS.

Hrabia lekką ma rękę! Przewyborna rada!

DON RICARDO (kłaniając się jaknajuniżeniej).

Lecz zkąd tytuł hrabiowski na mnie, królu, spada?

DON SANCHO (z pośpiechem).

To pomyłka.

DON RICARDO (do Don Sancha).

Król nazwał mię hrabią.

DON KARLOS.

Dość wreszcie....
Ten tytuł z ust mi wypadł, Ricardo — podnieście.

DON RICARDO (kłaniając się powtórnie).

Dzięki, królu!

DON SANCHO (do Don Matiasa).

Wystrzelił hrabia niespodzianie.

DON MATIAS (do Don Sancha).

Co zrobi król z porwaną? Ciekawe pytanie.

DON SANCHO.

Co? zrobi ją hrabiną, damą dworu może...
A syn jej będzie królem Hiszpanji...

DON MATIAS.

Mój Boże!
Co? Królem płód nieprawy?... To pomysł jedyny!
I król, następcy tronu nie stworzy z hrabiny!

DON SANCHO.

A Markiza na matkę króla się nadaje?

DON MATIAS.

. . . .
. . . .

(Don Karlos wraca).

DON KARLOS (patrząc z gniewem w okna oświetlone).

Rzekłbyś, żem tu oczami szpiegów otoczony...
W dwóch światło przecież zgasło... No, nareszcie!
[Brawo!
Kto czeka, jakże czas mu wlecze się kulawo!
Lecz któż zmusi godziny szybszym mijać lotem?...

DON SANCHO.

U podwoi twych, królu, myśleliśmy o tem.

DON KARLOS.

I lud mój, dzięki panom, tę prawdę pamięta.

(ostatnie światło w oknach gaśnie).

DON KARLOS.

Światła wszędy pogasły....

(patrząc na balkon Dony Sol, gdzie zawsze ciemno).

Ciemności przeklęta!
Kiedyż światło tu błyśnie? Ta noc zbyt jest ciemną...
Ona ciemność rozproszy, jak słońce nademną.

(do don Ricarda).

Już północ?..

DON RICARDO.

Tak, nie długo.

DON KARLOS.

Skończyć to należy.
Co chwila nadejść może wódz leśnych rycerzy.

(w oknie Dony Sol pokazuje się światło — i cień jej rysuje się na szybach okna).

Otóż ona!... Pochodnia! To jej cień!.. Widzicie?..
Nigdy dzień mi się nie zdał tak pięknym o świcie!.
Prędzej! Dajmy więc hasło! To słowa jej własne:
„Trzy klaśnięcia":—Za chwilę to oblicze jasne,
Promienne, obaczycie. Lecz nas tu zawiele—
Ona się nas przestraszy... A więc, przyjaciele,
Idźcie śledzić za tamtym. Podział pracy robię
I kochanków. Ja biorę piękną, a wy sobie
Bierzcie zbójcę.

DON RICARDO.

Dziękuję!

DON KARLOS.

Skoro przyjdzie, śmiało
Uderzcie nań, bez zwłoki, nagle, siłą całą.
A zanim się rozpatrzy, zanim opamięta,
Ja uniosę gołąbkę — i klamka zamknięta.
Lecz bez śmierci. To człowiek waleczny! Słyszycie?
A przytem, rzecz nie małej wagi, ludzkie życie.

(Panowie, oddawszy ukłon królowi, odchodzą.— Don Karlos czeka aż się oddalą, potem uderza w dłonie dwukrotnie. Za powtórnem hasłem, okno się otwiera — Dona Sol wychodzi w bieli na balkon).

SCENA II.

Don Karlos. Dona Sol.

DONA SOL (*na balkonie*).

Hernani!

DON KARLOS (*do siebie*).

Ani słowa! — Milczenie opoki!

(uderza w dłonie).

DONA SOL.

Już schodzę.

(zamyka okno, w którem światło gaśnie. po chwili małe drzwi się otwierają i Dona Sol wychodzi, z lampą w ręku, w okryciu zarzuconem na ramiona).

DONA SOL (*otwierając drzwi*).

Mój Hernani!

(Don Karlos nasuwa kapelusz na oczy i podchodzi szybko ku niej).

DONA SOL (*wypuszczając z rąk lampę*).

To nie jego kroki!

(chce wejść napowrót — Don Karlos podbiega do niej i zatrzymuje ją za rękę).

DON KARLOS.

Dona Sol!

DONA SOL.

To głos obcy!... O, jam nieszczęśliwa!...

DON KARLOS.

Z czyich piersi głos czulszy nad ten się wyrywa?..
To kochanek, a nadto, kochanek w koronie!

DONA SOL.

Król!

DON KARLOS.

Królestwo u stóp twych, sięgnij tylko po nie!
Gdyż ten, którego słodkie skruszyć chcesz okowy,
To król, na twe skinienia niewolnik gotowy!

DONA SOL (*starając się wyrwać z rąk Don Karlosa*).

Ratunku!

DON KARLOS.

Słuszna zgroza niewinność jej rani,
Bo to nie on, bandyta, ale król twój, pani!

DONA SOL.

Bandyta — ty! Czyż wstydem czoło to nie płonie?...
Za króla mnie rumieniec oblewa po skronie!...
Toż są czyny, któremi, królu, się wsławicie?
Porywać w noc kobietę, przemocą i skrycie?
Bandyta lepszy od Was! — Mówię — świat niech
[słucha:
Gdyby człowiek był tutaj czem być winien z ducha,—
I Bóg za serce ludziom rozdawał zaszczyty,
Hernani berło miałby, król — miano bandyty!

DON KARLOS (*usiłując pociągnąć ją do siebie*).

Lecz pani!...

DONA SOL.

Jam z krwi Hrabiów! Dajesz hańbę?.. Komu?

DON KARLOS.

Będziesz księżną!...

DONA SOL (*odtrącając go*).

Milcz, Królu! Zanadto już sromu!

(cofa się o kilka kroków)

Don Karlosie! Nic nie ma w tem sercu dla ciebie!
Ojciec mój krwi nie szczędził dla tronu w potrzebie...
Krew rycerza być czarną w tej piersi nie może!
Tron twój dla mnie — zawiele! Za mało twe łoże!

DON KARLOS.

Więc dam ci...

DONA SOL.

Don Karlosie! Dwór ma lalki! Na nie
Zwróć swe oczy miłosne! Lub uczujesz panie,
Tak, ja ci dam to uczuć — zmuszona, niestety!
Żem kobieta z szlachetnej zrodzona kobiety!

DON KARLOS.

Rzeknij słowo, a tron mój twoim wnet zostanie!
Królową, cesarzową, zrobię cię...

DONA SOL.

Nie, panie!
To pułapka. A zresztą, wyznaję ci szczerze —
Nie o ciebie tu idzie. Gdyby mi w ofierze
Inne berło złożono, mój król, mój bandyta.
Droższy mi!... Tak!.. W tułaczce, łachmanem okryta,
Mrąca z głodu, z pragnienia, ścigana, wyklęta,
Rok po roku tak wlokąc losów jego pęta,
Iść z nim wolę!.. Bój, nędza, nic mię nie przeraża!
Wygnanie, śmierć z nim wolę, nad berło cesarza!..

DON KARLOS.

Jak szczęśliwy ten człowiek!

DONA SOL.

On, wygnaniec, panie?

DON KARLOS.

Bór ciemny z twą miłością, za trony mu stanie!
Jam na tronie samotny... a on ma anioła!
— Więc ty mię nienawidzisz?...

DONA SOL.

Nie kocham cię zgoła!

DON KARLOS (*porywając ją gwałtownie*).

Nienawidzisz, czy kochasz, to mię nie rozczula!
Tyś moja!... moja! Ramię silniejsze u króla!...
Pożądam cię... i biorę!... Zobaczymy przecie,
Czy Król Indów, Hiszpanji — bezsilny jak dziecię!...

DONA SOL (*usiłując się uwolnić*).

Litości, królu! Jesteś wielkim królem, panie!
Markizy, księżne dworu, hrabiny, gdy na nie
Rzucisz okiem, są twoje... W każdem takiem łonie,
Na miłość twą, pokorna miłość wnet zapłonie...
A on, wygnaniec, cóż mu niebo skąpe dało?
Masz Kastylią, Aragon, Nawarę wspaniałą,
Murcyą, Leon i dziesięć innych królestw. Oto
Holandya u stóp twoich, kopiesz Indów złoto,
Masz cesarstwo, przy którem — niczem władztw
[gromada,
Tak wielkie, że w niem nigdy słońce nie zapada.
I monarcha, przy którym wszyscy króle bledną,
Wydziera mię biednemu, co ma tu — mnie jedną!...

(klęka. — Don Karlos usiłuje pociągnąć ją za sobą).

DON KARLOS.

Nic nie słucham!... Idź ze mną! Ulegnij w pokorze,
A cztery me Hiszpanje u stóp twoich złożę!
Co zapragniesz! — Wybieraj!

DONA SOL (*wyrywając się z rąk jego*),

Za wszystko mi stanie,
By honor mój ocalić, to żelazo, panie.

(wyrywa mu sztylet z za pasa. Don Karlos wypuszcza ją z rąk i cofa się).

Podejdź teraz... krok jeden!...

DON KARLOS.

Przepysznie! Wspaniale!
Teraz romans z bandytą nie dziwi mię wcale!

(chce zbliżyć się do niej. Dona Sol wznosi sztylet w górę).

DONA SOL.

Krok jeden, a dwa trupy tu padną!...

(Król cofa się, Dona Sol woła całym głosem):

Hernani!
Hernani!

Don Karlos.

Milcz!

Dona Sol.

Krok jeszcze!... Ty i ja w otchłani!...

Don Karlos.

Ta scena oburzenie króla w końcu budzi!...
Dona Sol! Na me hasło czeka tam — trzech ludzi!..

Hernani (*stając nagle za królem*).

O jednym zapomniałeś!

(Król odwraca się i spostrzega Hernaniego, stojącego za nim nieruchomie w cieniu, z rękami skrzyżowanemi na piersi, pod płaszczem; z czołem odkrytem z pod kapelusza. Dona Sol wydaje okrzyk — biegnie ku Hernaniemu i zarzuca nań ramiona).

(*d. c. n*).

LIST SZÓSTY

DALEKI ZACHÓD

w Ameryce północnéj

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Raz napomknąwszy o misyjonarzu, musimy zaznajomić go z wami, mili czytelnicy. Otóż, starowina ów, z którym poznaliśmy się po nastąpionym odjeździe Saszema, sprzyjać się zdawał wielce planom naszym, bo podług niego nic nie przyczyniłoby się lepiej do ucywilizowania miedzianych wychowanków jego nad często powtarzane wycieczki Europejczyków ku wschodowi.

— Otóż, mówił poczciwina, niektórzy z ich przywódzców odwiedzali mnie kilka razy w Waschingtonie jeszcze, i opowiadali za powrotem do domostw współrodakom swoim cudowne rzeczy o mnogości bladych twarzy, przepychu, wygodach i zwyczajach powszedniego życia, widzianych w ich kraju. I cóż stało się—myślicie? Niedowierzający, bo głupi podwładni, słuchali gawęd takich ze szyderstwem, posądzając ich że zostali przekupieni od Europejczyków, i dla tego opowiadają im niepodobne do prawdy bajki; bo trzeba wiedzieć że jedną z wybitnych cech Czerwono-skórych jest zupełna niewiara we wyższe zdolności i doskonalsze używanie darów życia bladych twarzy. Wada więc owa nieprzebytą stawia zaporę tak nawróceniu ich na wiarę chrześcijańską, jak przekonaniu o niezrównanej z nimi różnicy w potędze środków działawczych.

Starzec znał, jak na palcach, najgłębsze tajnie serc indyjskich i rozumiał dokładnie dziwne wyniki ich opornej działalności, gdyż bywał świadkiem nie jednych krwawych zapasów wywołanych brakiem taktu w postępowaniu bladych twarzy. Własnemi oczyma patrzał na rzezie bezlitośne, kiedy wyćwiczone wojsko Stanów Zjednoczonych napadło bezbronne i parlamentujące pokolenia zebrane koło fortecy Kearney leżącej nad Plattą, i tym sposobem odpłaciło im stokroć srożej, za rzeź spełnioną na swych ziomkach.

I nie dziw że starzec ten obznajmionym był tak dokładnie z tajemnicami ludzi o miedzianej skórze; stan jego, ciągła styczność z nimi i surowa bezstronność sądów zmieniły go w przekonaniu dzikich z wroga w gorącego obrońcę. Drobiazgowo, a może nawet z pewną przesadą, opisywał on nam ich rany dolegliwe, krwią serca zabiegłe, krzywdy i cierpienia.

Zbyt dobrze znane zwierzęce obchodzenie się dumnych a żądnych zysku Anglo-Sasów, abym powtarzać miał gorzkie wyrazy starego poczciwca. Sam słuchałem z oburzeniem długiej opowieści, gdy misyjonarz nagle przeskoczył w mrzonkowy zakres przypuszczeń o pochodzeniu miedziano-cerych.

Szkot towarzysz mój, zauważył był nawiasem, że Indyjanie amerykańscy wyłonili się zapewne z wielkiej niegdyś osady chińskiej lub mongolskiej, zaniesionej wypadkiem na brzegi pustego podówczas lądu. Według mniemania pseudo-uczonego Szkota, ludzie owi stać musieli nie na dość wysokim szczeblu rozwoju umysłowego—czego miały by dowodzić miasta Azteków odkryte w głębi stepu, miny miedziane użytkowane nad jeziorem Superior, w jakich teraźniejsi ich posiadacze odnajdują jak najwyraźniejsze ślady dawnych umiejętnych robót, zkąd odgadują stan Meksykańskiego rozwoju w chwili zjawienia się Korteza na widowni świata.

— Przepraszam, odrzekł dowodzącemu ksiądz; Indyjanie nie od Mongołów ród swój wywodzą, a tem mniéj Chińczyków, lecz rodzonemi są dziećmi zatraconych pokoleń Izraela, niegdyś świętą ziemią zamieszkujących.

— Jakto! zaprzepaszczonych żydów, odezwałem się z uśmiechem. I jakież to być miały pokolenia?

— Czy nie wiadomo panu dotąd, iż Juda tylko w towarzystwie Beniamina wrócili z assyryjskich i babilońskich kajdan? Cóż więc stać się mogło z resztą owych pokoleń? Oto przedarłszy się w następstwie lądem aż do cieśniny Beringa, skryły się przed uciskiem tyranów do Ameryki i rozsiały po całej tej części ziemi, czego dowodem jest miano Jehowe. Niektóre z miedzianych szczepów zwą niem po dziś dzień Wielkiego Ducha, którego czczą na podobieństwo naszego Boga w swój tylko sposób.

Nie myśląc się zagłębiać w przydługie rozprawy zwróciłem rozmowę na inny przedmiot.

Naczelnik wrócił nazajutrz z licznym pocztem najemników, a że dzień był chłodny, zasiedliśmy w okół ogniska rozpalonego po za miasteczkiem, i rozparłszy wygodnie znużone członki na skórach bawolich, przystąpiliśmy do rzeczy, ćmiąc przytem tytoń z kamiennej fajeczki.

Wódz dzikich zaofiarowywał nam własnego syna, mówiąc nawiasem, miał jeszcze przy swym boku parkę nader pokaźnych małżonek, i trzech równych synalowi w dostojeństwie młodzieńców. Dorodny potomek naczelnika zwał się bardzo groźnie bo Szator-sapa!—czyli Orzeł czarny, a przybrał to nazwisko w nagrodę za strzał zręczny, gdyż taki zwyczaj u Czerwono-skórych. W ten też sposób dobija się zaszczytu owego każdy młody strzelec, każdy z nich zabiwszy orła, bawołu lub niedźwiedzia, zmieniał dowolnie nazwisko własne na oznaczające ów wyższy stopień dzielności—innych w ten sam sposób chrzczą świadkowie czynów mężtwa.

Dwużeństwo miedzianego chłopca mocno mnie zdziwiło; słyszałem że pokolenie jego przyjęło chrześcijanizm, lecz czuły ojczulek wytłomaczyć mi nieomieszkał rzeczy nader gładko—dowodząc iż: kiedy pulchną a dorodną żonkę udało się synowi kupić za tanie pieniądze, toć nic nie przeszkadza że i rad korzysta ze słodkiego daru Wielkiego Ducha!—a nabył dzieweczkę od przyjaciela głodnego za dwa kuce, podczas kiedy, w tak ciężkim czasie, dać trzeba za ładną kobietę, trzy a nawet cztery konie!

Po długim targu z uporczywemi w handlu Indyjanami, stanęła nareszcie zgoda na warunki przez nas określone, a mianowicie:

Każdy z tej służby otrzymywać miał piętnaście dolarów miesięcznej płacy wraz z całkowitem utrzymaniem; my zaś ponieść mieliśmy wszystkie koszta podróży tam i z powrotem. Umowa ta obowiązywała strony obie zarówno, na ciąg ośmnastu miesięcy, a dla pewności że nie zostawimy ich w Europie bez grosza, złożyć mieliśmy dość znaczną kwotę u dozorcy bezpieczeństwa handlowego; a gdy w Genui znajduje się zarząd telegraficzny, zażądaliśmy więc z Chicago nadesłania kilkuset dolarów, lecz natychmiastowej nieotrzymując odpowiedzi, osądziliśmy iż wypada nam czekać przez dni kilka na listy, że jednak szkoda było marnować czasu, wpłynąłem na wodza podarunkami by udał się ze mną natychmiast do obozu Indyjan.

Łakomstwo przemogło w półdzikiej duszy wszelkie względy poboczne, i tegoż jeszcze wieczoru znaleźliśmy się we wigwamie naczelnika plemienia, ze skór i płótna skleconym naprędce.

Mężczyzn niewielu zastałem w tem obozowisku przenośnem, większa ich liczba wyszła na łowy w stronę wybrzeży rzeki Rzeczpospolitej, toczącej swe wody między Nebraską i Kansas, a rzadko odwiedzanej przez obcych. Wynikiem ostatniej tej przyczyny jest, że, nie wyniszczone jeszcze bawoły, elki i inne przeżuwające, paść się mogą w spokoju u jej brzegów obfitujących w paszę.

Wigwam Saszema, budynek okrągły mający przeszło dziesięć stóp w średnicy, tworzyły pręty półtora-calowej grubości, długie zaś na stóp kilkanaście, wbite silnie w grunt, w górze zaś pozaginane w łuki i poszczepiane wzajem rzemieniami.

Na takiem to szkielecie zwisały ściany pozeszywane ze skóry, szmat, starych kołder i plecionek utkanych z trawy rosnącej nad bagnami. Próg przestępując przekonaliśmy się, iż jedyny tylko otwór pozostawiono w czubku zaokrąglonego na podobiznę deszczochronu wieka, dla odprowadzania dymu i sadzy z kamiennego ogniska, na którem tlał ogień podsycany gnojem suszonem.

Dokoła ogniska widniały rozrzucone w nieładzie plecionki ze sitowia miękkiego jak jedwabniste koce nasze, skóry z bawołów i kojotów, nad płomieniem zaś wędził się szczur piżmowy (o jakich później napiszę) służyć mający na wybredną wieczerzę. Wyżej jeszcze, wśród kłębów dymu bujało się kilka skalpów, owych niezbędnych przyborów domostwa indyjskiego. Z prawdziwą ciekawością przypatrywałem się tym obmierzłym pomnikom krwawego, okrutnego mordu i zagłady, lecz po kruczych grubych jak włosień kędziorach, poznałem iż należały do wrogów miejscowych.

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Febris Aurea.

Komedya w 5-iu aktach, napisana oryginalnie przez Zygmunta Sarneckiego — grana po raz pierwszy w Eldorado d. 19 Sierpnia r. b.

Febris Aurea (gorączka złota) należy do chorób chronicznych i nieuleczonych naszego wieku. Wyrodził ją materyalizm, rozprzestrzeniła walka o byt, a utrwalił brak wiary w duchową przyszłość naszą. Dawniej, gdy ludzie widzieli szeroki horyzont przyszłości przed swojemi oczami, garść złota uważaną przez nich była jako jeden z tysiąca czynników do dopięcia szlachetnych czynów służący, dziś ona nie jest niczem więcej jak przyczynkiem do ciągłego mnożenia kapitałów, które rosnąc w rękach spekulantów wyradzają owo nigdy nieprzesycone pragnienie bezprzestannego powiększania swych zasobów pieniężnych. Pan Zygmunt Sarnecki wziął sobie za zadanie przedstawić nam różne typy tych nowożytnych czcicieli mamony, i pomimo wad układu sceni-

cznego jako też zbytniego rozdzielenia akcyj, wywiązał się zaszczytnie ze swego zadania. Komedya jego jest właściwie kalejdoskopem różnorodnych obrazków, połączonych ze sobą zaledwie dojrzaną nicią intrygi — ale obrazki te choć nie dosyć spojone tryskają życiem i prawdą, co przy wybornem skreśleniu niektórych charakterów, sprawia, iż sztukę jego zaliczyć możemy do lepszych utworów nowoczesnej dramatycznej literatury.

Treść komedyi jest następująca: Pan Lutnicki, poczciwy z gruntu obywatel ziemski, lecz nieudolny gospodarz dotknięty przytem rozlicznemi finansowemi niepowodzeniami, pragnie sprzedać grożący zupełną ruiną majątek. Jako kandydat do nabycia takowego staje niejaki pan Gałdziński, który z krzywdą ludzką dobił się fortuny. Ów dorobkiewicz płacąc gotówką znaczną, bo przechodzącą wartość dóbr sumą, ma na celu przywłaszczenie sobie ukryte w pałacu przez ojca Lutnickiego skarby, o istnieniu których dziwnym zbiegiem okoliczności dowiedział się od swego ekonoma Szalwińskiego. Spojony przez innego sprytnego spekulanta, Krotta, oficyalista, wygadał się z tajemnicy, a jednocześnie stara hrabina Skarbnicka, również pałająca chęcią pomnożenia kapitałów, podsłuchała rozmowę. Dobijają się więc oni o pierwszeństwo w kupnie, w końcu jednak Lutnicki przyjmuje wzdychając zadatek, i spisuje kontrakt sprzedaży z Gałdzińskim, przed którym ustępują drudzy kandydaci, zwąchawszy iż te skarby są więcej fikcyjne niż realne. Tymczasem chciwy na złoto ekonom, rozłamawszy komin wyciąga z murów skrzynkę, a zwabieni rumotem spadających cegieł Gałdziński i Lutnicki chwytają ją w oburącz. Cóż powiecie? W skrzynce nie było nic więcej prócz objaśnienia że wspomniane skarby nieboszczyk oddał już ojcu hr. Julijusza wychowańca Lutnickiego, który kochał nadobną Leokadyę córkę Gałdzińskiego i był przez nią kochanym, ale z uwagi na źle nabyty majątek jej ojca nie chciał się z nią żenić, chociaż ta dosyć naiwnie sama mu swą miłość ofiarowała. Znalezienie jednak próżnej skrzynki zmienia nagle postać rzeczy: Julijusz żeni się z Leokadyą, ślamazarnemu Lutnickiemu oddają sprzedany poprzednio majątek, Gałdzińskiego zaś, który pomimo nieszlachetnej swej przeszłości szalenie kocha córkę, pozbawiają widoku jedynego dziecka każąc mu jechać w kraj świata i kurtyna zapada. Jest tam jeszcze mnóstwo podrzędnych szczegółów które nie mają bezpośredniego związku z główną treścią, lecz służą do wprowadzenia na scenę rozmaitych klas ludzi chorujących na gorączkę złota, lub skreślenie charakterów przeciwstawionych tymże jako kontrast. Widzimy starą hrabinę Skarbnicką ze swoim nieodstępnym siostrzeńcem księciem Lili, przynoszącym jej co chwila to bombonierkę, to tabaczkę, to znów wódkę kolońską; zalotną guwernantkę pannę Teodorę, dla której wszyscy po trochu pałają czułemi afektami; żyda husytę, przebiegłego faktora, lekarza biorącego za puls damy i każącego pokazywać żydom języki; Krotta spekulanta o którego uczciwości dowiadujemy się dopiero w trzecim akcie, w czasie rozmowy jego z Gałdzińskim, i nakoniec Kostrzewę architekta, który na to się tylko na scenie pokazuje, ażeby Skarbnicka miała sposobność polecić mu zrobienie planu zamku ozdobionego wieżyczkami. Charaktery wielu z działających osób skreślone są z wielką prawdą, i za takie uważamy postacie Gałdzińskiego, doktora Ramockiego i ekonoma Szalwińskiego—inne znowu, choć naszkicowane tylko, mają swoje zalety jak np. hrabiny Skarbnickiej, jej siostrzeńca i obydwóch żydów. Do mniej szczęśliwych kreacyj zaliczymy zużyty typ Lutnickiego i nie dość określony Krotta. Inaczej jednak być nie mogło; jak artysta - malarz stawia na widowni niektóre szczegóły, szkicuje inne, a zostawia w pół cieniu resztę, tak i autor dramatyczny zmuszony jest stopniować perspektywę sceniczną ażeby, nie razić widza zbytnią jaskrawością nagromadzonych w jeden punkt barw.

W ogóle powiedziawszy, komedya „Febris Aurea" zdradza niepospolity talent autora w kreśleniu charakterów i tworzeniu scen pojedynczych — grzeszy zaś brakiem rutyny scenicznej i wiązania cząstek w jedną harmonijną całość. Słuchając tej sztuki, zdaje się nam słyszeć wyborne pot-pourri z najróżnorodniejszych motywów złożone, w którem po dziarskim mazurze następuje rzewna melodya, po skocznym czardaszu poważna uwertura. Rozczuleni miłością zakochanej Leokadyi, musimy wkrótce potem patrzyć na pijaństwo Szalwińskiego, lub na trywialną konsultacyę doktora z żydem. Po pełnej dramatyczności (a nawiasem mówiąc jednej z najlepszych scen) Krotta z Gałdzińskim, mamy przed oczami całusy niemoralnej guwernantki z na wpół-dziecinnym Lili, i rażący towarzyską przyzwoitość jej postępek z Krottem. Cały drugi akt jest spacerem po ogrodzie 5-u czy 6-u par wchodzących i wychodzących kolejno, z których każda działa na swoją rękę, nie troszcząc się bynajmniej o to co inni czynią. Wiele także znaleść można nieprawdopodobieństw. I tak np. panienka dobrze wychowana, a taką była Leokadya, nie oświadczy się nigdy o rękę młodego człowieka chociażby go najbardziej kochała, ten znowu nawet szlachetnym powodowany celem, nie odmówi tak nagle ex abrupto ofiarowanego mu szczęścia, gdyż postępek podobny byłby trudnym do przebaczenia brutalstwem. Dziwnem także zdawać się może, iż chciwy ekonom postawiony niby na straży do pilnowania skarbów w obcym domu, nie wziął się do rozwalania murów komina nocną porą, lecz dopełnił tej hałaśliwej czynności w biały dzień, jak gdyby umyślnie dla zwabienia interesantów i rozwiązania komedyi — nakoniec jeżeli są ludzie którzy skarby zamurowują po kominach, to wątpię iżby ktokolwiekbądź obdarowawszy przyjaciela swojem mieniem, podjął po raz wtóry tyle uciążliwą pracę, jedynie dla ukrycia skrzynki zawierającej w sobie objaśnienie na piśmie, że w niej nic już nie ma.

Jednak pomimo wyżej wymienionych błędów i usterków, komedya p. Sarneckiego należy do rzędu lepszych dramatycznych utworów jakie pojawiły się w ostatnich czasach na deskach teatralnych. Jest tam wiele życia, werwy i zapału — język wszędzie czysty i poprawny, dyalogi prowadzone umiejętnie, sytuacye scen zbiorowych naturalne — jednem słowem nie możemy jak tylko szczerze powinszować autorowi tej pracy, i ubolewać iż dyrekcya teatrów warszawskich, niepojętym zupełnie dla nas zaślepieniem powodowana, nie wystawiła dotąd na swej scenie wspomnianej sztuki, tymbardziej iż wiele z utworów poważniejszego zakroju zaliczonych do jej repertuaru, nawet porównania pod względem wewnętrznej wartości wytrzymać nie jest w stanie z rozbieranym przez nas obecnie dziełem p. Sarneckiego. Najlepszym dowodem sympatyi jaką mamy dla talentu autora jest to, iż odstępujemy tym razem od przyjętych zasad, zamieszczając w piśmie naszem recenzyę sztuki z repertoaru ogródkowego wyjętą. Wprawdzie inny jeszcze wzgląd powodował nami do skreślenia niniejszego sprawozdania. Teatrzyki ogrodkowe oprócz wyrabiania smaku artystycznego w średnich klasach ludności, odciągania warstw rzemieślniczych od bilardów i szynkowni, są areną w której mogą się wyrabiać stopniowo przyszli autorowie dramatyczni. Wiadomo powszechnie iż chcąc napisać dobrą komedyę potrzeba oprócz talentu i rutyny scenicznej, a ta nie nabywa się inaczej jak przez wprawę. Pole do nabrania tej wprawy dają właśnie: Eldorado, Alhambra, Tivoli i Antokol, lecz niestety! jakże usiłowania owych małych przybytków Melpomeny przyjęte bywają przez prasę! Redakcye dzienników w nader rzadkich tylko wyjątkach, posyłają tam fachowych recenzentów, zwykle poprzestają one na zdaniu swoich reporterów, zdolnych do pisania o złych chodnikach, leniwie kursujących omnibusach, zręcznych rzezimieszkach, lecz nie mających najmniejszego wyobrażenia o doniosłości krytyki. Artykuł kilko-wierszowy ganiący wszystko bez miłosierdzia, z użyciem wyrażeń nie estetycznych, jak np. lichota, brednie, niedorzeczność, komedyopisarz kozła wywrócił i t. d. ani nie nauczy autora w czem zbłądził, ani też żadnego pożytku ogółowi publiczności przynieść nie zdoła. Brak czasu i miejsca nie może w żaden sposób tłumaczyć podobnego lekceważenia, lepiej bowiem dawać od czasu do czasu sumiennie napisane recenzye sztuk poważniejszych, zbywając milczeniem drobnostki i farsy, niżeli wkładać krytyczne pióro do rąk zarozumiałych, a niezdolnych do niczego innego jak do brutalskiej szykany reporterów. Z przyjemnością zaznaczamy jednakże że „Febris Aurea" do wyjątków tym razem policzoną została, obudzając słusznie jej należne uznanie i współczucie, nie zaś niesforne krzyki bezwzględnego a pozbawionego logicznych motywów potępienia.

Komedya pana Sarneckiego względnie do środków jakimi rozporządzać można w teatrze Eldorado, odegraną została starannie. Charakter Gałdzińskiego wypunktowany że tak się wyrażę w najdrobniejszych zarysach przez autora, znalazł wybornego przedstawiciela w osobie p. Carmantrant. Pan Teksel umiał wykwintną a przy tem pełną naturalności grą swoją zagładzić niektóre niedostatki w określeniu sprytnego, przebiegłego lecz przy tem uczciwego Krotta. P. Idziakowski odfotografował z natury postać ekonoma Szalwińskiego; nieprzesadzony a pełen humoru komizm przewodniczył od początku do końca sztuki jego akcyi. P. Kaliciński wyborny zwykle w rolach starych pedantów, umiał w odtworzeniu charakteru doktora Ramockiego dodać pewne subtelne odcienia, które zatarły monotonność niektórych sytuacyj. Poważny żyd husyta (P. Tomasiewicz) i fertyczny faktor (p. Jasiński) rozweselili publiczność w jedynej scenie jaka im się dostała w udziale. Nakoniec obie panny Czapskie, panna Mirecka, jakoteż pp. Żyburski, Kochler, Jankowski i Moszyński w miarę rozmiarów swoich ról i wybitności charakterów przedstawianych przez nich osobistości, przyczynili się nie mało do ogólnej harmonji wykonania.

Publiczność zbita z toru, codziennie niemal powtarzającemi się w pismach publicznych wyrokami bezwzględnego potępienia na każdą wystawioną w ogródkach oryginalną sztukę, przyjęła komedyę p. Sarneckiego dość chłodno, chociaż utwór ten w każdym razie zasługuje na objaw gorącego współczucia i szczerego uznania. *Ludwik Niemojowski.*

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

Również i język nie zawsze może być stałem kryteryum, gdyż ludy często zmieniają mowę; wiadomo np. że nasi żydzi mówią po niemiecku, na wschodzie zaś po hiszpańsku, a Bulgarowie, choć mówią językiem słowiańskim, nie mają nic wspólnego z tem plemieniem.

D-r Virchow wykazuje także, że i cechy anatomiczne mogą zawodzić. Przyjęto np. za cechy ludów aryjskich uważać skórę białą, oczy niebieskie, włosy jasne i długie głowy, za znamiona zaś autochtonów europejskich (Finnów, Turańczyków i t. d.) skórę ciemniejszą, włosy i oczy czarne i krótkie

czaszki. Otóż wiadomo, że dziś wszyscy prawie mieszkańcy Południowéj Europy, choć plemienia aryjskiego, są bruneci, i że tak było już za czasów Greków i Rzymian. Co się zaś tyczy czaszek, dziś jeszcze nietylko większość odnajdywanych czaszek we Francyi, Belgii, Niemczech i t. d. są krótkie, ale nawet i u żyjących dziś ludzi trafiają się takowe i to u ludzi niewątpliwie aryjskiego szczepu. Na téj zasadzie Quatrefages nawet dowodził niedawno, że Prusacy są narodem fińskim, co zbija Virchow, wykazując niedostateczność podobnego dowodu. Baskowie— lud niearyjski — są bruneci, lecz mają czaszki podłużne; Finnowie, przeciwnie mają głowy krótkie, lecz są blondyni.

Na mocy takich różnic, niektórzy, zbyt jednostronni zwolennicy cech fizycznych, jak np. Omalius d'Halloy, zwątpili nawet o aryjskiem pokrewieństwie dzisiejszych mieszkańców Europy np. Hiszpana lub Greka z Niemcem lub Słowianinem. Virchow mniema słusznie, że owo pomieszanie cech dowodzi połączenia się mieszkańców przedaryjskich z aryjskimi, a może nawet jest wynikiem możliwego pod wpływem klimatu i warunków życia, przerodzenia się fizycznego plemion aryjskich.

Byli i tacy, którzy wyprowadzali Iberów i Basków z Afryki i szukali nawet ich pokrewieństwa z ludami amerykańskiemi, korzystając przytém z przypuszczenia o bajecznej Atlantydzie, która miała niegdyś łączyć Europę i Afrykę z Ameryką, a potem zniknęła w oceanie, jak mówi Plato. Nie wiemy także, nietylko czy ludność autochtonów europejskich, których zastali przybysze aryjscy, była jednoplemienna, ale nawet i tego, jakie szczepy zmieniały się i wzajem wypierały się w owych odległych wiekach, gdyż Ligurowie, Iberowie i t. d. mogli być także przybyszami. Bertrand odróżnia trzy kolejno po sobie następujące warstwy ludności Francyi w czasach przedhistorycznych: troglodytów czyli mieszkańców jaskiń, plemię, które pozostawiło wielkie pomniki kamienne i lud, który zostawił nasypy grobowe. Przybysze aryjscy, jak to stwierdziły lingwistyka i archeologia, znajdowali się już w epoce bronzu, gdy przyszli do Europy; nie masz śladu, ażeby używali oni narzędzi kamiennych, co i ztąd także wypływa, że wszelkim wykopanym kamiennym zabytkom ludy aryjskie przypisywały pochodzenie z nieba; nie było więc tradycyi o epoce kamiennej. Co więcej, nie mieli téj epoki w Europie i Finnowie, gdyż u żadnego z tych plemion nie odkryto wykopalisk kamiennych, i Tacyt, który pierwszy o Finnach wspomina, powiada że używają ostrzy kościanych. W epoce kamiennej musieli tedy żyć w Europie ludy jeszcze dawniejszej, niż Finnowie rasy. Wiele pozostaje tu jeszcze pola domysłom, wiele stanowi zadanie lingwistyki, archeologii i paleontologii w przyszłości. Doty chczas wprawdzie na téj drodze nie dowiedziono jeszcze jedności rodu ludzkiego, ale nie tylko że nie wykazano niemożliwości wspólnego pochodzenia ludzi od jednej pary, lecz owszem nauka wciąż dąży do wykazania téj jedności, — lingwistyka zarówno, jak umiejętności doświadczalne — i Virchow kończy swą pracę z przekonaniem, że ta jedność zostanie stwierdzoną.

Co do tego ostatniego punktu, ciekawe są istotnie koleje, które przechodziła w nauce kwestya jedności lub rozmaitości rodzaju ludzkiego. Pismo święte uczy nas, że wszyscy ludzie pochodzą od jednej pary i aż do wieku XVII-go nikt o tem nie śmiał wątpić. Dopiero w tej ostatniej epoce, ze wzrostem niewiary i samodzielnych badań, niewiele troszczących się o religijne dane, uczeni w obec wielkiej rozmaitości ras ludzkich, różniących się barwą skóry, budową ciała, mową i zdolnościami, zaczęli wątpić żeby te tak znaczne różnice mogły rozwinąć się w potomstwie jednej pary. Z biegiem czasu zaczęła przeważać teorya pochodzenia od różnych przodków, od wielu par pierwotnych; była to tak zwana teorya *poligenizmu*, która w wieku XVIII zapanowała prawie wyłącznie i tem większy poklask znalazła dla tego właśnie, że była w sprzeczności z biblią. Zaczęto więc rozprawiać o granicach zmienności ras ludzkich pod wpływem klimatu, pożywienia i trybu życia, a choć dawne i nowsze przykłady stwierdzały wielką zmienność (w Afryce są np. żydzi, czarni jak murzyni), uczeni nie sądzili ażeby ta zmienność była nieograniczoną i uważali za niepodobieństwo, ażeby od jednej pary mogli pochodzić biały Europejczyk i czarny murzyn, żółty Mongoł i czerwono-skóry Indyanin. Z drugiej strony jednak istniała zawsze przeciwna szkoła monogenistów, którzy nawet niezależnie od świadectwa pisma świętego, drogą naukową dowodzili zoologicznej jedności gatunku ludzkiego i nieograniczonej zmienności typów. Dziś szkoła poligenistów upadła zupełnie i monogenizm stanowczo wziął górę, nie w skutek powrotu do tradycyi biblijnej, którą co raz to mniej uważają ludzie za powagę w kwestyach naukowych, lecz na drodze ściśle naukowych badań. Nawet Darwin i jego zwolennicy uznają wspólne pochodzenie rodzaju ludzkiego od jednej pary; widzimy że podobnego poglądu trzyma się Virchow; z drugiej strony i lingwistyka, jak wyraźnie wypowiada Maks Müller, najpozytywniejszy z lingwistów, nie traci nadziei, że powiedzie się jej wykazać wspólne pochodzenie wszystkich języków, chociaż dotąd to się jeszcze nie udało, i dla tego w lingwistyce jest także szkoła poligenistów, chętnie wyśmiewających podanie biblijne o wieży Babel, podobnie jak w antropologji wyśmiewano wiadomości pisma św. o Adamie i Ewie. Pomimo jednak tej niechęci ku pismu św. która może głównie podtrzymuje opozycyę i przeszkadza bezstronnemu udoskonaleniu badań i dochodzeń, widzimy że największe powagi w antropologji i lingwistyce wracają, po długich latach kołowań, do podań Mojżeszowych i zapowiadają udowodnienie ich drogą naukową w przyszłości.

L. Sz. W.

Hans Chrystyan Andersen,

poeta i powieściopisarz duński,

(ur. 2 kwietnia 1805 r., † 4 sierpnia 1875 r.)

przez **J. Belejowską.**

(Ciąg dalszy).

Z utratą głosu stracił opiekunów, znowu więc pozostał samotny i bez grosza. Ciągle trwał w przekonaniu że występy sceniczne mają zapewnić mu sławę i dostatek; nie mogąc już śpiewać postanowił probować występować w balecie. Po różnych staraniach i niepowodzeniach, został nareszcie przyjęty do szkoły tańca i zaczął nie długo występować jako drugorzędny figurant, co zapewniało mu miesięczne wynagrodzenie — około 1 rs. 50 kop. I z tego miał żyć i przyodziać się, a była to zima ciężka i mroźna; biedak przychodził do teatru głodny i drżący od zimna.

Bóg wyraźnie opiekował się biedakiem na którego czole położył znamie geniuszu. Przypadkiem poznał Andersena sędziwy poeta duński Goldberg, umiał on rozpoznać skarby poezyi drzemią ce w duszy chłopięcia, przyjmował gościnnie w domu swoim, wspomagał pieniężnie, dostarczał książek, namawiał do pisania i rad swoich nie szczędził. Ośmielony taką zachętą, Hans Andersen zaczął pisać poezye, a z tych „Umierające dziecię" wielkiego doznało powodzenia. Śmiały i pewny siebie, jak zwykle młodzi nie wiele umiejący wierszopisarze, wziął się do napisania tragedyi, którą zniszczył następnie, gdy Goldberg po przeczytaniu oznajmił mu że żadnej nie ma wartości. Nie zadługo jednak napisał inną tragedyę, i przesłał ją panu Collin, dyrektorowi teatru, ten sumienniejszy od zwykłych kolegów swoich, nie odrzucił nie czytając, a nadto w kilka zaledwie dni po odebraniu rękopismu, zawezwał do siebie młodego autora. Oznajmił przybyłemu że tragedya jego nie odpowiada warunkom scenicznym, że przedstawioną być nie może, ale mimo to nosi na sobie cechy tak prawdziwego talentu, iż chce mu dopomódz aby go mógł rozwinąć. Młody Hans odszedł uszczęśliwiony, jutrzenka lepszej przyszłości zaczynała mu świtać. Zawakowało stypendyum w jednem z najcelniejszych gimnazyów w Kopenhadze. Collin wierny przyrzeczeniu przedstawił go znakomitym ówczesnym pisarzom i poetom duńskim: Oehlenschläger'owi i Ingemann'owi, a wspólne ich wstawienie się do króla, wyjednało mu wakujące stypendyum. Tak więc Andersen jak jedni podają w 19 a inni w 23 roku życia rozpoczął dopiero nauki gimnazyalne.

Niepodobna wyliczyć ile tu przetrwał przykrości, ile prześladowań od współuczni, szydzących z niego nieustannie, że taki stary a tak mało umie. Nawet i między profesorami znaleźli się tak nie uczciwi iż natrząsali się z jego ubóstwa, wymawiali że tylko z łaski się uczy. Biedny chłopiec nieraz gorzkiemi zalewał się łzami, umiał jednak wytrwać do końca i świetnie ukończywszy gimnazyum, wszedł do uniwersytetu.

Jeszcze przed ukończeniem nauk wydał w r. 1830 „Podróż pieszo do Amak," która wprędce doczekała się aż 3 wydań. W r. 1830 czy 1831 ogłosił drukiem swoje „Fantazye i szkice," które dały już poznać w nim jednego z najlepszych poetów duńskich. Król znowu wyznaczył mu fundusz na podróż za granicę. Podczas pobytu w Niemczech poznał Tick'a i Chamissa i ci postanowili przyswoić utwory jego literaturze niemieckiej. Powróciwszy do kraju, wydał wysoko cenione: „Sylwetki z podróży do gór Harcu."

Chojnie zaopatrzony przez króla, niezadługo przedsewziął powtórną podróż za granicę, i raz jeszcze zwiedził Niemcy, Szwajcaryę, Francyę i Włochy. Widok pięknych, coraz innej natury krajobrazów, dostarczył wyobraźni Andersena rozlicznych tematów. Podczas pobytu we Włoszech napisał jednę z najlepszych ówczesnych powieści „Improwizator," będącej żywym i świetnym obrazem artystycznego życia Włoch (1834). Piękny ten romans został tłómaczone na kilka języków; pani C. Lebrun przełożyła go na język francuzki w r. 1847, t. 2, a w dziesięć lat później, p. Feldmanowski w Poznaniu, przyswoił go językowi polskiemu. W romansie tym łączy się ognisty koloryt południowy, z bogatą fantazyą skandynawską.

(d. c. n.)

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 14 (26) Августа 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 34.

(*Dokończenie*).

N. 24 i 25. Opis przy ryc. 11 i 15.

N. 26. Suknia z chusteczką dla niedorosłej panienki. Krój chusteczki znajduje się przy ryc. 8 w N. 27.

Materyjałem na takie ubranie może być biały muślin lub kolorowe lino. Chusteczka krzyżująca się z przodu, może mieć w jednym ciągu dodane końce, które wiążą się z tyłu, lub też łączy się w pasie pod szarfą z kolorowej wstążki. Na górnej falbance przy sukni, przy rękawach i mantylce naszyty jest szlaczek z haftu atłaskowego. Na ryc. 26 widzimy w miejsce szarf, tylko długie końce, z niezbyt szerokiej wstążki, związane z boku i utrzymujące małą kieszonkę, odszytą z materyi koloru wstążki.

N. 27. Ubranie dla chłopczyka.

Ubranie odszyte z drelichu w paski białe i kolorowe, składa się z majteczek i bluzy, biała wypustka zakończa dolny brzeg bluzy, otacza pasek, zakładę wzdłuż przodów, wykłady na rękawach, kieszonkę i stojący kołnierzyk. Do zapięcia bluzy służą guziki z konchy perłowej.

N. 28. Teka na papiery. Mozajka z szyszek i nasion.

Tego rodzaju roboty opisywaliśmy już od kilku lat w Tygodniku zacząwszy od r. 1871. W następnych latach dla nowych czytelniczek powtarzaliśmy szczegółowe opisy. Dziś załączamy tylko nowy wzór tejże roboty zastosowany na tekę do papierów, a nie znające tej roboty czytelniczki odsełamy do Tyg. z lat przeszłych.

N. 29. Suknia z fartuszkową tuniką i stanikiem z baskiną. Krój patrz na arkuszu z formami do N. 27 i 28 N. XIV, Fig. 60.

Spódnica od sukni z płótna ćeru, przybrana jest plisowaniem 28 cent. szerokiem, przystębnowanem środkiem. i skośnym wolantem haftowanym, 21 cent. szerokim, przemarszczonym kilka razy od góry. Fartuszkowa tunika związana z tyłu szarfami, oszyta jest $11\frac{1}{2}$ cent. szerokiem plisowaniem, po nad którem idzie haftowany wolant 15 cent. szeroki. Kieszonki na tunice, ozdobione kokardami jak to wskazuje ryc. 29, wymagają prostych kawałków, trochę zaokrąglonych od dołu, oszytych z brzegów wypustką i ufałdowanych od góry. Stanik z baskiną zapięty wzdłuż przodów na dwa rzędy guzików rogowych, ma rękawy przybrane dwoma plisowanemi wolantami, po 8—10 cent. szerokiemi, zwróconemi do siebie. Przyszycie wolantów przykrywa nafałdowany poprzecznie skos, 21 cent. szeroki, ozdobiony kokardą. Wykładany kołnierzyk z klapkami dopełniony jest podgarnirowaniem z muślinu.

N. 30. Suknia z vêtement. Krój vêtement patrz ryc. 25—26 w N. 18.

Beige lub alpaga stanowi materyjał na suknię, którą ryc. 30 przedstawia. Spódnica przybrana jest z tyłu czterema wolantami, zakończonemi naprzemian plisowaniem z ciemniejszego materyjału i plisą. Brzegi vêtement zakończa plisowanie 7 cent. szerokie; wykładany kołnierz, kieszonki z kokardami i rękawy, zdobi wąziutkie plisowanie. Przody zapięte na dwa rzędy guzików. Kapelusz słomkowy, od spodu ronda podszyty aksamitną pliską; w około główki przybrany kwiatami i wstążką.

Opis do N. 35.

N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki.

Sukienka z blado niebieskiej, lekkiej, wełnianej tkaniny ze stanikiem wyciętym w kwadrat, oszyta jest dwoma 8—10 cent. szerokiemi wolantami i bufą marszczoną, z nagłówkami, 5 cent. szeroką. Na staniczku naszyta falbanka 4 cent. i plisa 3 cent. szeroka, a wykrój i gładkie, krótkie rękawki, oszyte białą plisowaną falbanką. Szarfa może być ze wstążki lub tego co suknia materyjału. Kapelusz pasterski ozdobiony wiankiem ze stokrotek.

N. 2. Ubranie dla niedorosłej panienki.

Suknia wełniana *mille fleurs* na tle białem, ze stanikiem bluzkowym, fartuszkową tuniką i wzdłuż bufowanemi rękawami, oprócz falban i bufek z tego samego materyjału, ozdobiona jest plisowaniem jasno szafirowego koloru, guziki pasek i gładkie mankiety oszyte plisowaniem są także szafirowe. Kapelusz okrągły, opasany szafirowym szalikiem.



N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki. N. 2. Ubranie dla niedorosłej panienki. N. 3. Ubranie spacerowe z vêtement z chustki beżowej.

N. 3. Ubranie spacerowe z vêtement z chustki beżowej.

Na vêtement do sukien spacerowych, domowych lub podróżnych, wyrabiane są obecnie lekkie i miękkie chustki beżowe, w kolorach popielatych, orzechowych lub piaskowych w pasy do cieniu, albo nawet w różnych odmiennych kolorach. Z połowy chustki poprzecznie przeciętej przez środek, robi się tunikę z przodu gładko przystającą, z boków we dwie fałdy zaszytą; z drugiej połowy stanik z baskiną i rękawy. Plecki z czterech części zeszyte, jak przy ryc. 5 w N. 36 Tygodnika; mogą składać się z tła i szlaków chustki, albo z chustki i gładkiej materyi. Na modelu dwie środkowe części pleców i w środek wstawiony albo naszyty pas na tunice, były ze szlaków; w rękawach także łączy się tło i szlaki podług gustu, albo jak lepiej wystarcza. Resztki pozostałej frendzli i szlaku mogą być użyte na szarfy lub do ubrania stanika.

Podług formy do ryc. 4 i 5 w N. 36 Tygodnika, można łatwo w miejsce baskiny, spiczasto z boków ściętej, dopasować baskinę gładką, albo prosto fałdowaną. Na modelu spódnica była z gładkiego popielatego beżu, z wypustkami z ciemniejszej materyi przy wolancie i nagłówkach buf; vêtement zaś z chustki popielatej w pasy ciemniejsze i białe, przybrane wstążką tego co wypustki koloru. Kapelusz popielaty tyrolski, ubrany wstążką, piórami i różami.

N. 4—5. Kosz do papierów. Robota krzyżowa i aplikacyja sukna. Część deseniu N. 5, reszta na arkuszu z krojami N. 6 i 7.

Materyjał: cienka kanwa dobrana do włóczki angielskiej; włóczka jasno i ciemno zielona; sukno w dwóch cieniach orzechowych lub brązowych; wstążka zielona w mantynie 2 i 4 cent. szeroka; fular lub kaszmir zielony. Fason koszyka sześcio-kątnego odrobiony z trzciny albo drutu.

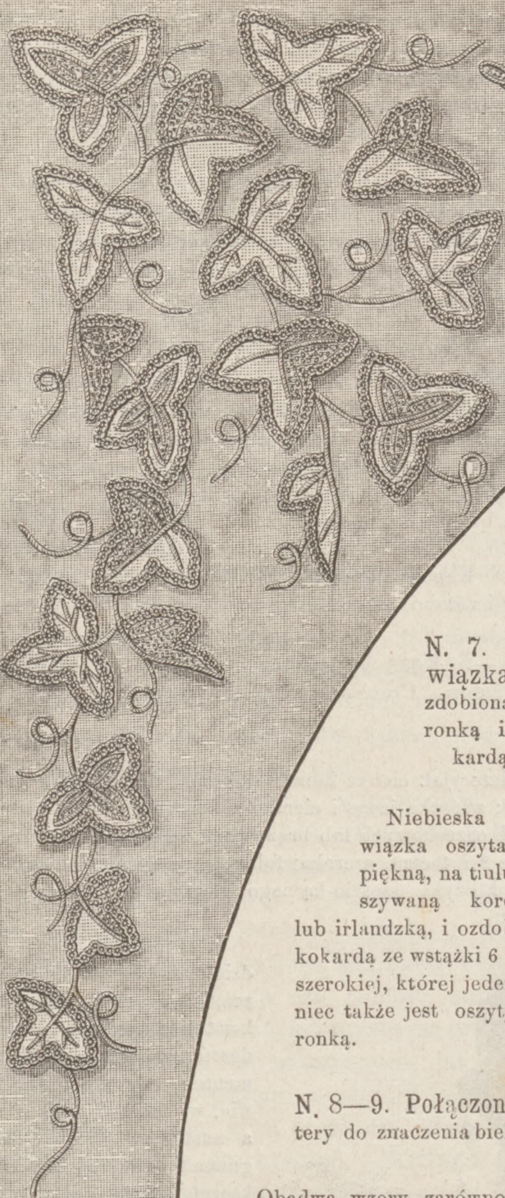
Haft odrabia się na oddzielnych kawałkach kanwy przykrojonych podług 6-ciu kwaterek koszyka i wieka, deseń trzeba tuszem lub atramentem odrysować na kanwie, wykończyć wraz z tłem a następnie dopiero nakleić gummą aplikacyję sukna, której brzegi trzeba odziergać jedwabiem czarnym a tło ozdobić takiemiż muszkami. Kwaterki zeszywa się ze sobą, przyczepia do pręcików koszyka, a zeszycia zdobi riuszą z węższej wstążeczki. W środku koszyczka i w postumencie daje się materyję, a na złączeniu kwaterek u góry; kokardy z szerszej wstążki.

N. 6—7. Dwie ozdobne podwiązki.

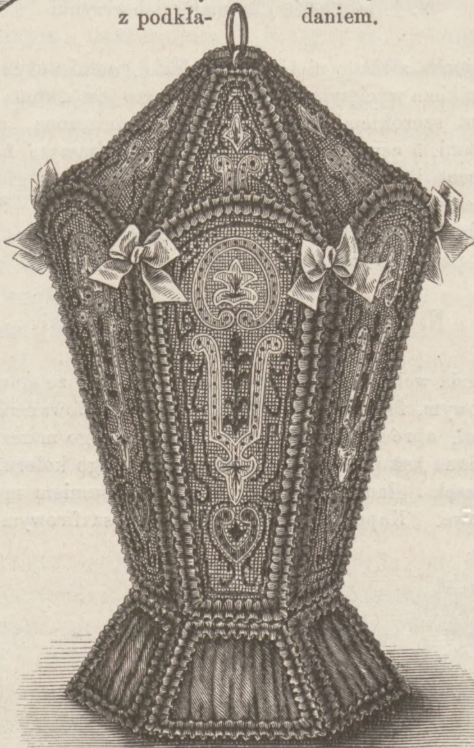
Obie podwiązki mogą być użyte na podarunek. Podwiązki z kolorowej materyi z nawleczonemi sprężynkami kupuje się gotowe u rękawicznika, a garnirunek dodaje własnoręcznie i przyszywa w ten sposób ażeby sprężynki mogły się dowolnie rozciągać. Obadwa modele nie są zapinane tylko raz na zawsze zeszyte pod kokardą.

N. 6. Podwiązka z rozetą i plisowaniem.

Różowa atłasowa podwiązka ogarnirowana jest plisowaniem 5—6 cent. szerokiem z białego muślinu, i ozdobiona rozetą i gałązkami, ułożonemi z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej. Środek rozetki stanowią 3 kwiatki, ułożone ze wstążki na pół przeciętej, zmarszczonej i układanej w kółko jedno koło drugiego, tak ażeby miały $2\frac{1}{2}$ cent. średnicy. Rozeta składa się z ośmiu listków ułożonych ze wstążki, zakładanej w fałdki do środka i przyszytych do kawałka sztywnego tiulu. Na każdy listek rozety potrzeba 8 cent. wstążki, a na mniejsze w bocznych gałązkach po 5 centymetrów.



N. 11. Narożniki do chusteczki ryc. 10. Haft biały z podkładaniem.



N. 4. Kosz do papierów. Robota na kanwie i aplikacyja sukna. Deseń w dodatku N. 6—7. Patrz ryc. 5.

N. 7. Podwiązka ozdobiona koronką i kokardą.

Niebieska podwiązka oszyta jest piękną, na tiulu wyszywaną koronką, lub irlandzką, i ozdobiona kokardą ze wstążki 6 cent. szerokiej, której jeden koniec także jest oszyty koronką.

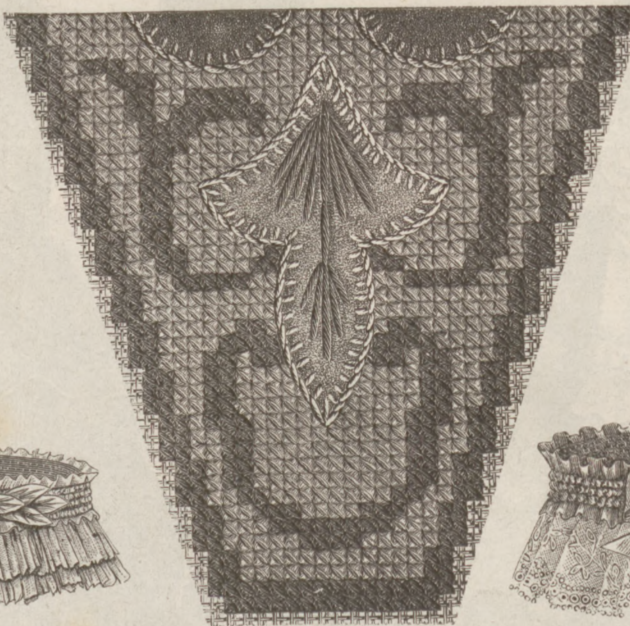
N. 8—9. Połączone litery do znaczenia bielizny.

Obadwa wzory zarówno służyć mogą na poszewki, prześcieradła, albo do chustek batystowych. Haft może być biały lub kolorowy, rodzaje ściegów wyraźnie wskazane na deseniu. Do chustek ze szlaczkiem kolorowym, dobiera się odpowiednie kolory jedwabiu lub prawdziwej tureckiej bawełny, niezmieniającej się w praniu.

N. 10—11. Chusteczka haftowana do nosa. Haft atłaskowy z podkładaniem batystu, obrąb z kratką ażurową. Próbki kratki ryc. 16—17 w N. 37 Tygodnika.

Materyjał: Kwadrat prawdziwego batystu miary 50 centymetrów, bawełna do haftu N. 80, nici na szpulkach N. 200.

Ryc. 11 podaje w naturalnej wielkości deseń dwóch naprzemian dawanych narożników. Chusteczka trzyma 42 cent. w kwadrat, resztę batystu liczy się na obrąb 4 cent. szeroki, w płaskie zęby wycięty i kratką wyciąganą ozdobiony, za którym dopiero daje się haft. Dla braku miejsca narożnik z liści bluszczu nie jest podany w całości, potrzeba go więc w rysunku dopełnić. Ażeby liście i kwiaty były wybitniejsze, pod haft podkłada się batyst podwójnie od spodu, który po wykończeniu roboty, z tła pomiędzy deseniem wycina się jak najstaranniej z lewej strony. W deseniu tym oprócz wypukłego atłasku użyty jest ścieg sznureczkowy na gałązki, supełkowy i stębnowany czyli piaskowy do zapełnienia liści i kwiatów, brzegi zaś niektórych liści i kwiatów otoczone są drobniutkiemi dziurkami, które mogą być odrobione na nitkach wyciąganych albo rozsuniętych. Ten rodzaj haftu wymaga nader wprawnej i umiejętnej ręki, która zrozumie rodzaje roboty z podanego deseniu; dla osób mało wprawnych, haft na batyście jest niemożliwy.



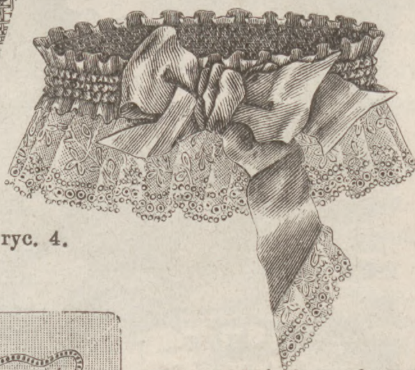
N. 5. Część roboty krzyżowej do koszyka ryc. 4.



N. 6. Podwiązka z falbanką plisowaną zapiętą rozetą.

N. 12. Portyjera do alkowy albo przeforsztowania.

Przy alkowach albo przegrodzeniach pokoju portyjery muszą być zastosowane do szerszych niż przy drzwiach otworów i w górze proste. Ryc. 12 przedstawia lambrekinę z jedwabnej albo wełnianej materyi, w zęby wyciętą, sutą frendzlą oszytą i ozdobioną arabeskami, wyciętemi, z aksamitu. Proste i gładkie firanki dodane są z boków.



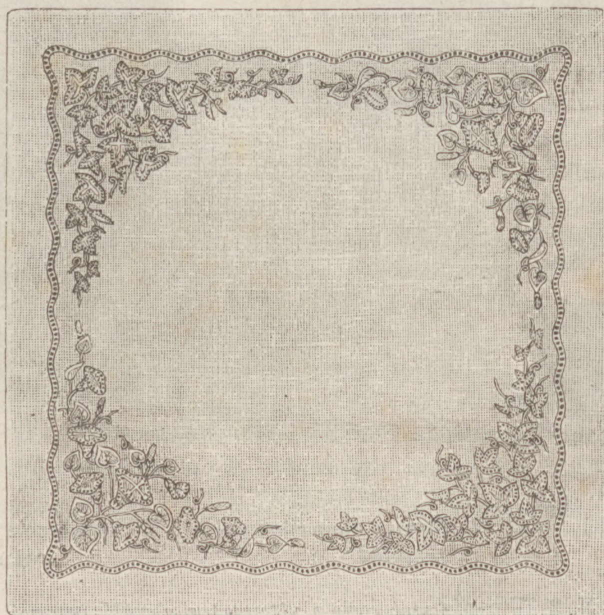
N. 7. Podwiązka z koronką i kokardą.

N. 13. Otomanka. Deseń haftu ryc. 15 i N. 2 na arkuszu z krojami.

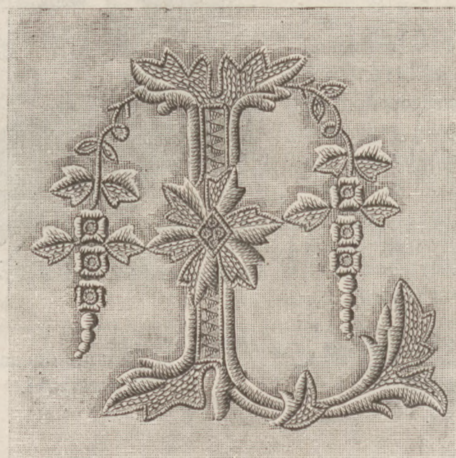
Ta nader wygodna sofa nadaje się zarówno do pokoju sypialnego, do buduaru lub do pokoju w którym zwykle zbiera się rodzina. Dwie mniejsze i jedna większa poduszka i dwa wałki służą do bardzo dogodnego oparcia lub leżenia. Materac i poduszki pokryte są weł-



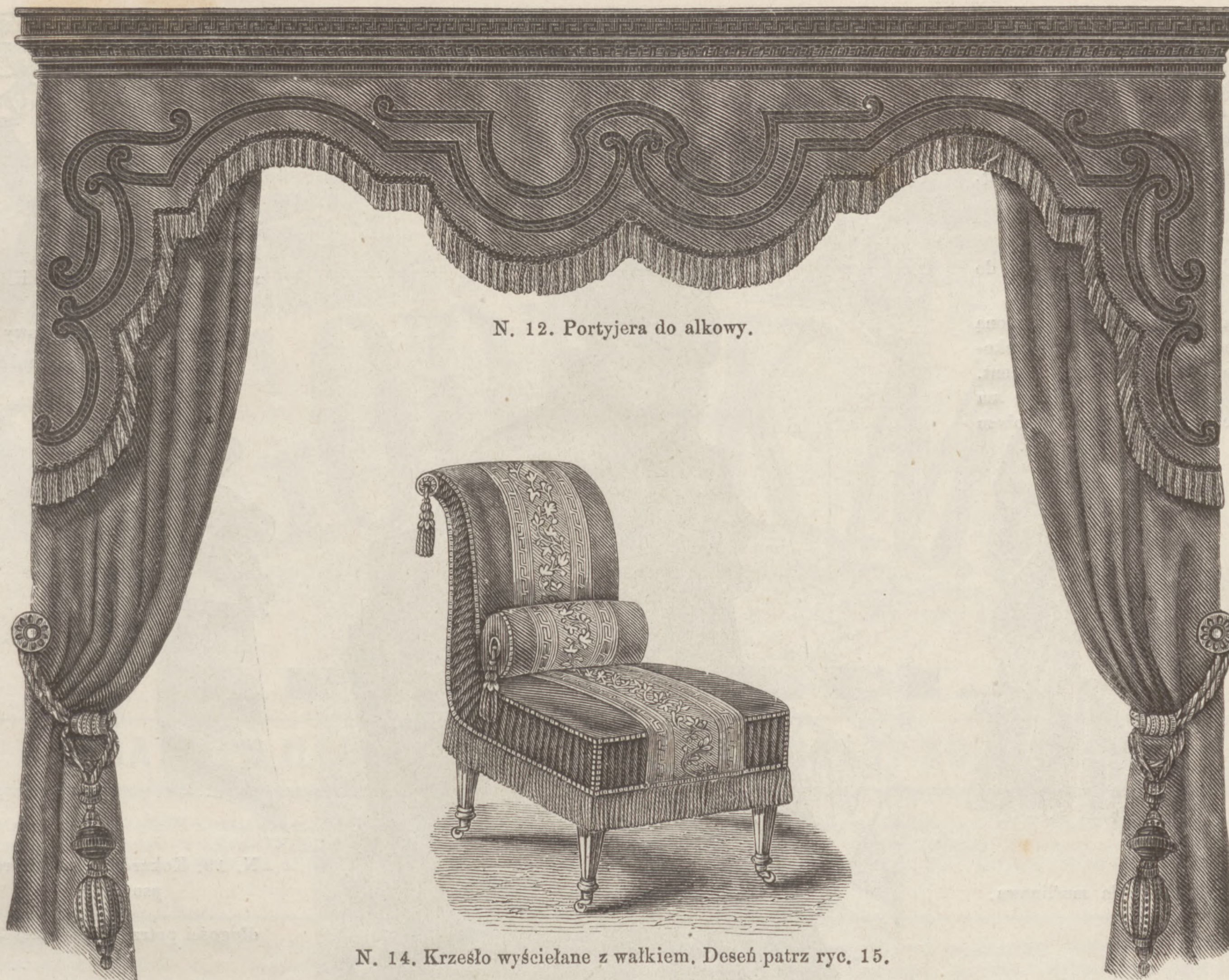
N. 8. Monogram. Haft atłaskiem.



N. 10. Chusteczka z haftowanemi narożnikami. Haft biały z podkładaniem i kratka. Patrz ryc. 11 tudzież 16 i 17 w N. 36.



N. 9. Monogram haft atłaskiem.


N. 12. Portyjera do alkowy.

nianą lub jedwabną materyją, tkaną w deseń stanowiący pasy środkowe. Do skromniejszego umeblowania można użyć bawełnianego adamaszku lub cwilichu. Boki i dół obite są gładkiem plisowanym materyjałem, do ozdoby służą kręcone frendzle, grube sznury i sute kwasty.

Można także do gładkiego jedwabnego, lub wełnianego obicia dać pasy środkowe roboty krzyżowej, haftu lub aklikacyi albo wszywać pasy tkane fabryczne w rozmaite desenie. Na ryc. 15 podajemy wzór łatwego haftu na drelichu albo rypsie w pasy, a pod N. 2 na arkuszu z krojami, bogaty pas z aplikacyją arabesek w czterech cieniach lub czterech kolorach, które na tle sukiennem, rypsowem albo jedwabnem, mogą być dawane z aksamitu, atłasu albo sukna. Na modelu, na tle ciemno-brązowem środkowa arabeska była niebieska, otaczająca ją figura oranżowa, narożniki purpurowe, a podwójne linije po brzegach jasno szafirowe. Brzegi deseniu oszywają się wązkim sutaszem, albo obrabiają ściegiem łańcuszkowym lub dzierganym, jedwabiem odpowiedniego koloru. Cała piękność roboty zależy na dokładnem wykrojeniu figur i starannem ich naklejeniu przed przyszyciem.

N. 14. Krzesło wyściełane z wałkiem.

Zwykle 4 lub 6 podobnych krzeseł i dwa fotele z poręczami stanowi garnitur dostateczny do buduaru lub gabinetu, a w większych pokojach mieścić się mogący obok innych mebli. Desenie do haftu służyć mogą te same co do otomanki N. 13.

N. 15. Pas do mebli. Haft ściegiem długim i sznureczkowym na materyjałach tkanych w deseń.

Materyjał: Adamaszek lub cwilich w pięknym deseń, torsadka meblowa, kordonek w kilku kolorach.

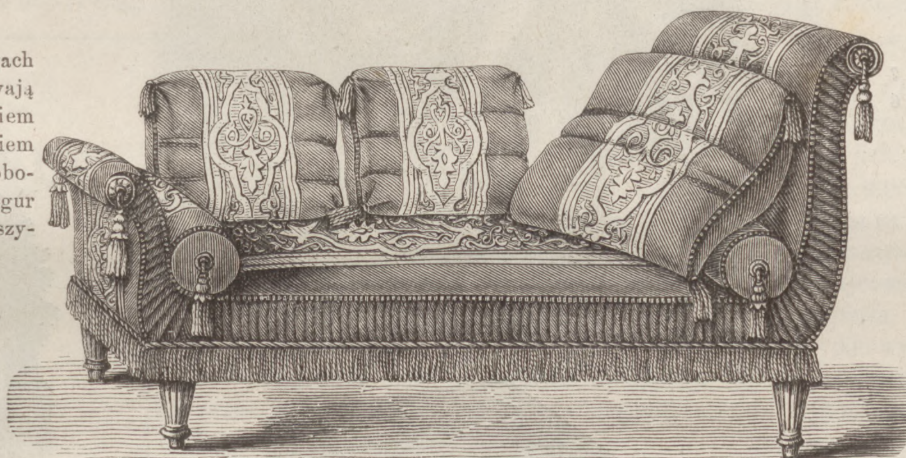
Już od lat kilku tkaniny wełniane lub drelichy niciane w pięknym adamaszkowy deseń używają na meble, w miejsce haftu obwodząc tylko kontury w deseniu jedwabiem kolorowym. Na modelu który podajemy, biały deseń dobrze odbijał na tle popielatem, grecka arabeska, i kontury liści oszyte były ściegiem sznureczkowym, kordonkiem pąsowym, łodyżki i małe kwiatki kordonkiem czarnym, a groszki ściegiem płaskim, kolorem pąsowym. Wązkie szlaczki naszyte były torsadką białą pikową, przeszytą kordonkiem szafirowym, a wyszycie między niemi odrobione ściegiem długim kolorem czarnym i pąsowym. Na ryc. 15 można dokładnie rozróżnić rodzaje ściegów i deseń, podług niej więc kierować się trzeba w robotach tego rodzaju, które zdobić mogą meble, portyjery, poduszki a nawet szlaki serwet.

N. 16. Narożnik do kołnierzyka. Dzierganie i kratka.

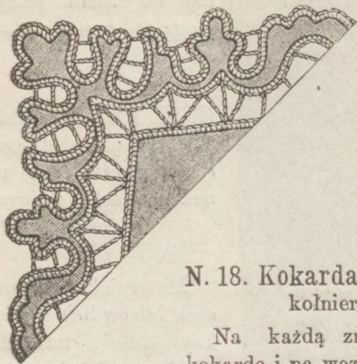
N. 17. Narożnik do kołnierzyka. Cienka plecioneczka i ścieg koronkowy.

Podług powyższych narożników, które z łatwością mogą być trochę po-

N. 14. Krzesło wyściełane z wałkiem. Deseń patrz ryc. 15.


N. 13. Otomanka. Deseń haftu patrz ryc. 15. Odpowiedni deseń podajemy w dodatku pod N. 2.


N. 15. Szlak. Haft ściegiem luźnym na odpowiednim deseniowym materyjale.



N. 16. Narożnik do kołnierzyka. Haft dziergany.

ułożone, dwa trójkąty muślinu mające w prostych brzegach po 32 cent., oszywa się koronką 8 cent. szeroką, trochę przymarszczoną, fałduje się w sposób na ryc. 18 wskazany i przyszywa pod węzłem. Fałdowanie końców zaczyna się od środka kontrafałdą 4 cent. szeroką, dalsze zaś 4 fałdy, 2 ½ cent. szerokie, powinny w środku nietylko się stykać ale nieco zachodzić na siebie.

większone, trzeba odrysować i wyhaftować mankietki i szlaczek do paska od kołnierzyka.

N. 18. Kokarda muślinowa do kołnierzyka.

Na każdą zręcznie ułożoną kokardę i na węzeł, trzeba skośnego kawałka muślinu, 9 cent. szer. a 14 cent. długiego; na końce wachlarzowym sposobem



N. 18. Kokarda muślinowa.

N. 19. Kokarda z rypsowej wstążki.

Na taką kokardę potrzeba 80 cent. wstążki 7 cent. szerokiej. Końce skośnie ścięte są 12 i 16



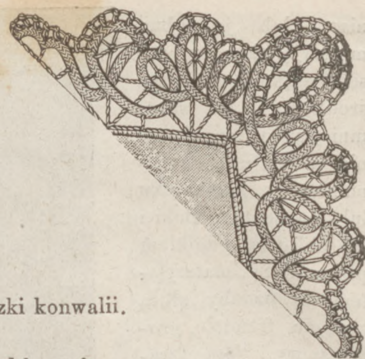
N. 20. Szalik koronkowy.

cent. długie, pięć kokard układa się na kawałku sztywnego tiulu nie przecinając wstążki. Między kokardy domieszane gałązki konwalii.

N. 20. Szal koronkowy

Ryc. 20 przedstawia szal czarny koronkowy w górze wywinięty i zręcznie zarzucony. Dla osób szczupłych i mających ładną figurę, takie szale są najkorzystniejszem okryciem na spacery i wizyty w lato, na koncerta lub do teatru. Chcąc własnoręcznie taki szal odrobić, dobiera się tiul gładki w jak najlepszym gatunku, mający 90 cent. szerokości; długości potrzeba najwyżej 230 centymetrów.

(dok. nast.)



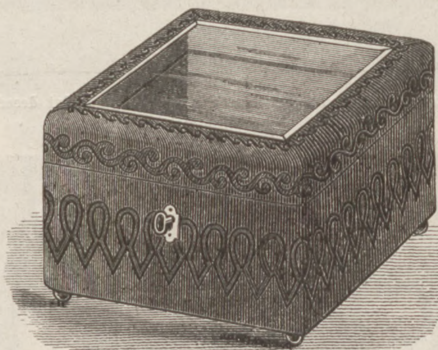
N. 17. Narożnik do kołnierzyka. Ścieg koronkowy i cieniutka pleconeczka.



N. 19. Kokarda z wstążki repsowej.



N. 22. Mantyla. Patrz ryc. 23 i 24. Krój w dodatku N. IV, Fig. 20—20-a.



N. 21. Szkatułka na kosztowności, ozdobiona haftem łańcuszkowym. Deseń w dodatku Fig. 22-a—22-c.



N. 23. Część krezy do mantyli ryc. 22 i 24.



N. 24. Mantyla. Plecy do ryc. 22. Krój w dodatku N. IV, Fig. 20—20-a.